

# Nieoficjalny Obiekt Literacki

**MIEŚCZNIK**  
BIULETYN INFORMACYJNY SKP  
WIOSNA 2014





Spis treści:

<i>Zdeiniowałem pustkę</i> (Mateusz P. Barczyk) _____	4
<i>Lilly</i> (Szymon Gonera) _____	20
<i>Sąsiadka</i> (Katarzyna Rupiewicz) _____	22
<i>Polowanie na Fritza Langa</i> (Andrzej Trybuła) _____	26

Mateusz P. Barczyk

## Zdefiniowałem pustkę

*Tyle razy widziałem we śnie swoją śmierć, że nauczyłem się bardziej cenić życie. Widziałem też we śnie moje życie, co pozwoliło mi bardziej docenić śmierć.*

Marilyn Manson

Zdefiniowałem pustkę. To chyba największy sukces, jaki w życiu osiągnąłem. Może nie zmieniłem tym świata, ale wciąż uważam to za swe najważniejsze dokonanie. Powiem więcej – moja definicja nie jest ogólna, nie można włożyć jej do słownika ani do encyklopedii. Określiłem po prostu, czym pustka jest dla mnie. Jednak teraz czuję potęgę tego słowa. Zznałem pustki, to wystarczyło.

Miewasz czasem tak, że znajdujesz słowa właściwe do określenia danego uczucia, ale uważasz, iż nie oddadzą one w pełni jego istoty? Tak właśnie jest w tym wypadku. Nawet nie będę próbował określać tego słowami, takie zadanie przerosłoby oratorów i poetów. Musisz jednak wiedzieć, iż nie jestem nikim wyjątkowym. Jednak by poznać moją definicję pustki, musisz poznać też historię mojego życia.

Swoją drogę określiłem w wieku czternastu lat. Dzień miał być szary, podobny do każdego innego tak, jak podobne do siebie są uderzenia serca. Siedziałem w szkole, upojony nic nie wartą wiedzą, nabuzowany indoktrynacją. Korzystając z wolnej chwili po lekcjach, jeszcze raz wyświetliłem z holopanelu model granatu implozyjnego, by upewnić się, że rozumiem, na jakich zasadach działa. Dane z hologramu synchronizowały się z elektronicznymi soczewkami, lecz nigdzie w sieci nie natrafiłem na wyjaśnienie sensu użycia tej broni.

Obecność wykładowcy wyczułem dopiero, gdy stanął tuż obok mojego biurka. Chciałem wstać, ale gestem zabronił mi i usiadł obok.

Kazał mi zgasić wszelkie e-łącza i hologramy. Odłączyłem nawet dostęp do podręcznych banków danych. Tak właśnie odbyła się rozmowa, która przesądziła o moim życiu.

Powiedział, że chce zrobić ze mnie Nauczyciela, a wtedy ja uświadomiłem sobie, że całe życie czekałem na ten moment. Wiedziałem, że od tego czasu będę uczył się być innym człowiekiem. Właściwie, to pozbędę się najbardziej ludzkiej cechy – słabości.

Tak przynajmniej miało być. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, w co się pakuję. Jednak czy choćby szczebelek wyżej w drabinie społecznej dla zindoktrynowanego dziecka nie jest wystarczająco kuszący? Dla mnie był.

Nie sądzicie, że poprowadziliśmy ewolucję w złym kierunku? Pamiętam jeszcze taki wiersz Herberta, którego fragment mówił: „zbadano słońce / księżyc gwiazdy / zgubiono mnie”. Niestety nikt nie przejął się jego ostrzeżeniem. Ostrzeżeniem przed tym, do czego



prowadzą nasze działania. Liczba ludzi potrzebnych do tego, by świat jakoś funkcjonował, wciąż maleje. Dlatego coraz więcej osób zajmuje się tylko i wyłącznie pieniędzmi. Jak najmniej ludzi, jak najwięcej pieniędzy.

Ale był to tylko jeden z powodów epidemii depresji. Czynnikiem, którego wagi nie można przecenić, było też wynalezienie sieci emocji, czyli możliwość kupienia dobrego samopoczucia, uśmiechu i radości. Stworzyliśmy sobie burdel ze sztucznymi emocjami zamiast żywych dziwek – i to całkowicie etyczny, bo nierealny.

Przynajmniej z punktu widzenia społeczeństwa. Wszechświat po prostu się rozszerza, czas płynie coraz szybciej, pośpiech niszczy umysł. Często ludzie pytani o to, co zabiło Boga, wymieniają Internet, ale ja zawsze byłem pewien, że to zegar jest mordercą boskości. Próbowaleś kiedyś przeżyć dzień bez patrzenia na zegarek? Czyż nie jest to po prostu niewykonalne?

Zegar zniszczył ludzką psychikę. Udało mu się niemal całkiem wytepić indywidualizm. System zamknął ludzi w klatce. Któż może więc być potrzebny takim ludzkom wrakom? Cóż, niektórzy mają swoich specjalistów od urody, by pielęgnowali ich skorupę. Inni potrzebują lekarzy, bo za szybko się wypalają. Jednak ich umysły potrzebują kogoś takiego jak ja. Kim jestem? Cóż, można to nazwać na wiele sposobów. Jestem Nauczycielem, ale nazywają mnie też terapeutą, psychologiem, pedagogiem, przyjacielem do wynajęcia, pomagierem, helperem, friend-bitchem... Jak już wspomniałem, nie jestem nikim wyjątkowym. Takich jak ja jest wielu. Pomagamy ludziom ogarnąć to, czego oni nie ogarniają. Dajemy im zrozumienie i zdolność radzenia sobie z problemami.

Prawda jest taka, że jesteśmy tylko niewielką przeszkodą na drodze do końca świata. Jednak nie znaczy to przecież, że nie jesteśmy nic warci. Wciąż pomagamy.

Pan Katin. I jemu należy się pomoc. Pan Katin wchodzi do gabinetu zapowiedziany dzięki detektorom w korytarzu. Dziś rano zadzwonił, żeby umówić się na wizytę w godzinach popołudniowych, więc miałem trochę czasu, by przejrzeć jego dane. Nigdy się tym nie sugeruję, biorę je po prostu za podstawy.

Joseph Franklin Katin, lat trzydzieści siedem. Studiował dziennikarstwo, w wieku lat trzydziestu zaczął pracę w sklepie spożywczym. Sklep zamknięto dwa lata później. Od tego czasu bezrobotny, bezdzietny, mieszka z matką. Wszędzie ma długi. Notowany za dwie kradzieże i próbę obrabowania bankomatu. Takich klientów mam najwięcej.

Drzwi otwierają się, wpuszczając go do środka. Rzuca mi nieśmiałe spojrzenie zza groźnej maski, a ja tylko siedzę i patrzę na niego. Nie obserwuję go okiem badacza – zmanierowanego profesjonala. Ja zwyczajnie, po ludzku na niego patrzę. Nie zamierzam udawać lepszego od niego. Nie znam jeszcze tego człowieka.

Robot domowy pomaga mu zdjąć kurtkę, a ja pytam go, czego się napije.

– Kawy – mówi, ale widać, że jest mu to w zasadzie obojętne. Podchodzi do stołu, a ja gestem zapraszam go, by usiadł na kanapie. Katin opada na nią z ulgą.

– *Czy dla pana to samo?* – pyta system domowy, patrząc na mnie oczami poruszającego się na gumowych łożyskach robota.

– Poproszę – odpowiadam, po czym na powrót odwracam głowę w stronę Katina. Bez trudu mogę odgadnąć jego myśli. To jego pierwsza wizyta u Nauczyciela. Widzę w jego oczach niepewność. Patrzy na mnie i widzi zupełnie nie to, czego się spodziewał. Nie chcę wprawiać go w zakłopotanie, ale chętnie spytałbym go, czego się spodziewał.

Brodatego starca w opończy, który raz na niego spojrzy i od razu odgadnie, z jakim problemem przychodzi? Przykro mi, nie jestem o wiele starszy od niego, nie mam brody, a na spotkania z klientami zakładam zwykle garniturę. Jak już mówiłem, nie jestem nikim wyjątkowym.

A Katin nie przestaje na mnie patrzeć. W jego oczach widzę pytanie. „Czy ten człowiek może mi pomóc?”

Czy człowiek w ogóle może pomóc drugiemu człowiekowi?

Było to pierwsze pytanie, jakie zadano mi, gdy już trafiłem do ośrodka szkoleniowego. Wciąż wspominam te zimne, szare mury. Po wyjściu z nich miałem być zupełnie innym człowiekiem. Miałem dopiero poznać genezę nazwy „Szkoła Życia”. Oczywiście, że się bałem.

Zanim zaprowadzono mnie do pokoju, wzięto mnie do jednego z pokoiów treningowych. Zresztą nie miałbym po co iść najpierw do pokoju. Nie pozwolono mi zabrać na szkolenie żadnych rzeczy. Zamknięto mnie w nim. Normalne światło zgasło. Reflektor nagle mnie oślepił. Zakryłem oczy.

Wtedy wyczułem czyjaś obecność. Ktoś oddychał ciężko. Poczulem papierosowy dym. To dziwne, niewielu ludzi pali zwykły tytoń.

– Czy człowiek może pomóc człowiekowi? – spytał ochryply głos. Odpowiedziałem bez zastanowienia, że tak.

Uderzenie w twarz. Nieoczekiwanie. Straciłem równowagę, upadłem na zimną podłogę, chwytając się za policzek. Zaczęłem czołgać się do tyłu, tak, by napastnik, chcąc zbliżyć się do mnie, musiał wejść w światło reflektora.

Czy człowiek może pomóc człowiekowi? – zapytałem sam siebie. Może miałem czternaście lat, może w życiu niewiele jeszcze widziałem, ale nieraz ktoś pomógł mi i ja... Może nie byłem ideałem, ale też zdarzało mi się bezinteresownie komuś pomóc.

– Czy człowiek może pomóc człowiekowi? – spytał wysoki, postawny mężczyzna, wyłaniając się z ciemności. Szybko udało mi się stanąć na nogi. Odległość była wystarczająco duża, by nie zdołał mnie zaskoczyć.

– Tak – odpowiedziałem. – Sam nieraz komuś pomogłem...

Nie sądziłem, że ktoś tych gabarytów może poruszać się tak szybko. Kopnięcie rzuciło mnie na ścianę, w którą uderzyłem ramieniem. Przeszył mnie tępy ból. Wtedy nadleciał cios, który rozwalil mi wargi. Smak krwi wzbogaconej o adrenalinę jest dziwnie metaliczny. Zaczęłem panikować. Strach ścisnął mi gardło.

– Jesteś tego pewien? – spytał mężczyzna, całą swą postawą dając mi do zrozumienia, że moje cierpienie nie robi na nim żadnego wrażenia.

– T... Tak... – odpowiedziałem, nie podnosząc się z kolan.

Kopnięcie w twarz było o wiele za silne jak na cios pozbawiony nienawiści. Nie sądziłem, że ktoś jest w stanie zrobić to dla zwykłej lekcji czy treningu. Myślałem, że stracę zęby. I że złamał mi nos. Łzy napłynęły mi do oczu. Przestałem myśleć, pragnąłem tylko, by to się skończyło.

– Czy człowiek może pomóc człowiekowi? – mężczyzna spokojnie powtórzył pytanie.

– Nie... – odpowiedziałem.

Podniósł mnie z ziemi i wbił mnie w ścianę. Przynajmniej tak się czułem. Jakby roztrzaskał mój kręgosłup. Potem rzucił na ziemię moje bezwładne ciało. Czułem ból, więc żyłem. Była to jedyna logiczna myśl, na której mogłem się skupić.

– Naprawdę uważasz, że gdy za swoje poglądy dostajesz w mordę, to znaczy, że trzeba je zmienić?! – spytał sarkastycznie, jak nauczyciel matematyki na widok ucznia, który skraca ułamki przy dodawaniu.

Patrzyłem na niego błędnym wzrokiem. Nie byłem w stanie się podnieść ani odpowiedzieć. Płakałem z bólu. I płakałem na myśl o bólu, który dopiero nastąpi.

– Człowiek może pomóc człowiekowi. Powiem więcej. Tylko człowiek może pomóc człowiekowi. Tak jak ja teraz pomogłem tobie. Zapamiętaj – powiedział z wyrzutem, oglądając wierzch dłoni. – Za pięć minut masz się zjawić przed swoim pokojem w stroju treningowym.

Dopiero znacznie później zrozumiałem, co miał na myśli. Nie wiedziałem wtedy jeszcze wielu ważnych rzeczy. Nie wiedziałem, jak pomagać ludziom. Nie wiedziałem, że z każdej straty można wyciągnąć ogromny zysk ani jak dosłowną okaże się nazwa „Szkoła Życia”

Staram się możliwie niewiele odzywać. Katin siedzi na kanapie, nerwowo gestykułując. Raz po raz zaciąga się e-papierosem. Z początku mówienie szło mu opornie i musiałem zadawać pytania, ale w końcu zaczął czuć się swobodnie i opowiadać o swoim życiu. Mówił, że brakuje mu wolności, niezależnienia się. Nie ma pieniędzy, nie ma wizji. Matka ma go dosyć. Nie ma dziewczyny. I tak naprawdę nie wie, czego mu brak. Czuje zwyczajną niechęć do życia, zwyczajny brak sensu. Chyba każdy z nas zna to uczucie.

Rozumiem go. Potakuję i słucham w skupieniu. On co chwila wyświetla ponad stołem hologramy bliskich mu osób, opowiadając o nich. Mówi o swojej byłej dziewczynie, której nie umiał uszczęśliwić, która go nie szanowała. W końcu zaczął mówić jak do kumpla. W psychologii istnieje taki termin - *rapport*. Oznacza on pozytywną relację pomiędzy psychologiem a jego klientem. To jest to, do czego dążę, a otrzymać to mogę jedynie w prosty, kartezyjański sposób – poprzez zrozumienie. Dzięki Szkole Życia – rozumiem tego biednego człowieka. Nie okazuję mu współczucia. Po prostu go rozumiem. I chyba właśnie o to w tym wszystkim chodzi.

Pan Katin cierpi na bardzo poważną chorobę naszych czasów, zwaną przeciętnością. Jest śmiertelna i bardzo zaraźliwa. Dziś panuje epidemia przeciętności. Konformizmem łatwo się zarazić. W sumie jedyną drogą, by tego uniknąć, jest kwarantanna. Przeszedłem coś takiego. Mówię oczywiście o Szkole Życia. Nie było łatwo. Ba, nazwać Szkołę Życia „nie do końca łatwą” to tak, jakby nazywać Hitlera „nie do końca dobrym”. W każdej jednej sekundzie pragnąłem odejść, uciec, cofnąć się w czasie i zarazić się bakcyliem przeciętności. Albo umrzeć, ale na to nie starczyło mi odwagi.

– Wie pan, ostatnio dopadł mnie jeden z wierzycieli wraz z ekipą. Akurat wracałem do domu – mówi pan Katin. – Czekał na mnie. Gdy dowiedział się, że nie mam pieniędzy, nie był zaskoczony ani nawet zdenerwowany. Był po prostu gotowy.

– A pan? – pytam.

– Hm?

– Co pan czuł?

– Też byłem gotowy – stwierdził, drapiąc się po zaroście. W oczach widziałem, że odgruzowuje to wspomnienie, starając się przywołać w myślach obraz tych uczuć. – Taaak... Byłem pogodzony z tym, co miało nastąpić. Dostałem w mordę. Dawno tak dobrze nie oberwałem. Gdy upadłem, kopali mnie. Zupełnie straciłem oddech. Ale wie



pan, co najbardziej wkurzyło Frankiego? W sensie, mojego wierzyiciela? Wkurzyłem go śmiechem. Tak, śmiałem się. Cieszyłem się na myśl o nadchodzącej śmierci.

Dziwiło mnie, że mówił o tym, jakby właśnie dokonywał wiekopomnego odkrycia. To dlatego, iż moja pamięć działa nieco lepiej od pamięci innych ludzi. Widzę i czuję wspomnienia zawsze, gdy tylko opadną moje powieki.

Zamykam oczy.

Unik. Pięść Roga ledwie mnie mija. Blokuję kolejny nadlatujący cios. Sierpowym uderzam od dołu. Atak w napięty brzuch niewiele mógł mu zrobić. Odskok. Kątem oka zauważam ciemną postać kontrolera przechadzającego się po arenie. Patrzy na mnie.

Prawym prostym uderzam centralnie w twarz Roga. Odbija cios przedramieniem. Nie wiem, kiedy udaje mu się zrobić krok w przód. Uderzenie w brzuch odbiera mi dech. Zginam się wpół, a tępy ból z tyłu głowy rzuca mnie na ziemię. Długo nie podnoszę się z niej, żeby nie spojrzeć w oczy kontrolera.

Jednak te treningi należały do łatwiejszych. Inne były zdecydowanie gorsze. Choćby dzień, w którym dostałem psa. „Musisz nauczyć się interakcji ze zwierzętami” – mówił kontroler. Pies, którego dostałem, był dwutygodniowym kundelkiem. Czarnym, o beżowych łapkach. Szczeniak był słodki i niezdarny. Nazwałem go Iskra, bo był dla mnie taką iskierką nadziei. Zasady działania Szkoły Życia sprawiały, że moje kontakty z innymi uczniami czy kontrolerami były wyłącznie czysto formalne. Przywykłem do samotności. Jednak brak kontaktu z ludźmi zalewał moje serce taką szarością, że nawet gdybym zaraz po skończeniu szkolenia trafił do więzienia, stanowiłoby to całkiem miłą odmianę.

Pies dawał iskierkę nadziei. Był wiernym towarzyszem. Nauczyłem go siadać, warować i dawać łapę. Czulem w końcu, że jestem komuś potrzebny. Mogłem mu opowiadać o swoich troskach. O strachu przed życiem i o niepewności. Codziennosc w Szkole była trudna, ale Iskra dawał nadzieję. Niestety nie mogłem zabierać go ze sobą na treningi ani na wykłady; na to nie pozwalano.

Iskra był najbliższą mi istotą. Często wracałem z treningów zakrwawiony... A z niektórych – zawsze. Choćby z tego, w czasie którego kontroler bił mnie za każdą odpowiedź i za zmianę poglądów. To weszło w rutynę. Gdy chciałem ze Szkoły zrezygnować, zrozumiałem, że nie mam już szans. W każdym razie dążyć do tego, że mój kochany Iskra często zlizywał ze mnie mą własną krew. Ja też nieraz musiałem go pocieszać. Czasem, gdy zbyt entuzjastycznie reagował na mój widok, kontroler kopał go. Nienawidziłem go za to. Zastanawiało mnie, dlaczego żaden z absolwentów szkoły nie zabił jeszcze ani jednego.

Nie kontrolowałem własnego życia. W Szkole nie było stałego planu zajęć. Były powtarzające się ćwiczenia, ale co chwila dodawano coś nowego. Często przy kolejnych wydawało mi się, że umrę. To z bólu, bity przez kontrolera, to z rozpacz, gdy puszczano nam smutne filmy i nagrania. Bałem się, że gdy wyjdę ze Szkoły, nie tylko nie będę już tym samym człowiekiem. Bałem się, że w ogóle nie będę człowiekiem.

A Katin wciąż mówił o swoich ludzkich problemach. Szanowałem je. Ani przez chwilę nie pomyślałem, że fakt, iż on prosi mnie o pomoc, czyni mnie od niego lepszym. Katin opowiadał o tym, jak to nie akceptowała go rodzina ukochanej. Jak jej matka wypominała mu brak pracy i wszystkie inne życiowe porażki.

Pewnie zastanawiacie się, skąd ktoś tak zadłużony jak pan Katin miał pieniądze na wizytę u mnie. Otóż za konsultacje z Nauczycielem płaci rząd. Przysługują one każdemu. Oczywiście można także umówić się prywatnie – ale wielu ludzi nie wierzy w nasze możliwości, albo też są zbyt dumni, by się do nas zgłosić. A niektórzy – choć nie zdarza się to często – sami radzą sobie ze swoimi problemami. Jednak ten gatunek wymiera.

Gdy pan Katin zakończył swoją opowieść, zacząłem wypytywać o szczegóły. Radziłem mu w poszczególnych sprawach: dokąd udać się na rozmowę kwalifikacyjną, z kim powinien pogadać, z kim warto mieć dobre relacje. Zwyczajnie, po ludzku.

Później, umówiwszy kolejną wizytę, pan Katin pożegnał się. W jego oczach widziałem ciekawość. Ciekawiło go, czy moje rady jakkolwiek pomogą, a z drugiej strony już czuł się lepiej, mogąc się komuś wygadać. Odprowadziłem go do drzwi, po czym podszedłem do okna i spojrzałem na panoramę rynku miasta – lokalnego epicentrum przeciętności.

Pewnego dnia, gdy wróciłem z treningu zmęczony, coś się zmieniło. Wszedłem do pokoju, a kontroler zamknął za mną drzwi. Spojrzałem na jedyny w pokoju mebel – pryzcę, na której leżał Iskra. Pies nie wstał, by przywitać się ze mną. Bałem się, że coś mu się stało. Zatroskany ruszyłem w jego stronę.

Wtedy podniósł łeb, a ja się zatrzymałem. Iskra wyszczerzył kły. To nie były jego oczy. Z pyska na materac kapłała mu ślina. Rozszerzone źrenice patrzyły na mnie złowrogo.

– Iskra... – wyszeptalem.

Pies zaczął warczeć, powoli podnosząc się z podłogi. Widziałem, że szykuje się do skoku. Moje serce zaczęło bić szybciej; niemal czułem, jak organizm zaczyna tłoczyć w moje żyły adrenalinę. Iskra skoczył, mierząc kłami w moją szyję. Uchyliłem się, doskakując do przeciwległej ściany. Pies pośliznął się na ziemi i uderzył bokiem w drzwi. Zacząłem wołać o pomoc. Nogi Iskry ślizgały się po ziemi, gdy znów zaczął biec w moją stronę. Odwróciłem się, skoczyłem, odbiłem się od ściany i padłem na łóżko. Pies znów uderzył w ścianę, co jeszcze bardziej go rozwścieczyło. Skoczył w moją stronę. Nie zdążyłem się obrócić. Złapałem go, przedramieniem blokując jego szyję, by nie mógł ugryźć mnie w twarz. Pazury boleśnie wbijały się w mój brzuch. Kapłała na mnie jego ślina, a szczeknięcia odbijały się echem w moich uszach. Wołałem o pomoc.

Udało mi się zrzucić z siebie psa. Urósł strasznie szybko. Tutaj, w Szkole, straciłem poczucie czasu, ale nie minął chyba jeszcze rok, a on był już niewiele lżejszy ode mnie. Jednak przez to zawsze czułem się przy nim bezpiecznie. Aż do dziś.

Nogi psa znów zabuksowały po ziemi, a ja wstałem z łóżka i zrobiłem krok w tył, ocierając jego ślinę z twarzy. Skoczył na mnie, a ja odskoczyłem w bok i odepchnąłem go. Znów tylko wzmocniłem jego furię. Złapałem się na mówieniu do niego. Cały czas do niego mówiłem. Prosiłem, by się uspokoił. On jednak nie słuchał. Znów na mnie skoczył. Uderzyłem go sierpowym. Widziałem, jak traci kontrolę. Od adrenaliny szumiało mi w głowie. Miałem wrażenie, jakby czas zaczął płynąć wolniej.

Pies ugina tylne łapy, przygotowuje się do skoku. Przenoszę ciężar ciała na drugą nogę, a wszystko inne wykonuje się samo. Godziny spędzone na treningach sprawiły, że zadziałiałem jak automat. Pies skacze w moją stronę. Biorę rozmach z obu stron. Uderzam zwierzę w skronie, niemalże czując jego ból. Ogłuszam go tym. Spadając na ziemię, Iskra próbuje mnie jeszcze atakować, ale ja obracam się, podnosząc nogę, a gdy ją

opuszczam, uderzam piętą w głowę zwierzęcia, wgniatając ją w podłogę. Słyszę tylko urwany pisk.

Leżę na kanapie i pijam herbatę. Otwieram oczy, a wspomnienie znika. Uśmiecham się nieznacznie i patrzę na sufit. Jest piętnasta. Proszę system domowy, aby wyświetlił wiadomości. Znów mówią o wzrastającym odsetku samobójstw, niedoborze policjantów, przepełnionych więzieniach i nowych teoriach końca świata. Z jednym zwolennikiem takiej teorii zrobili nawet krótki wywiad. Poza tym dowiedziałem się o kilku wypadkach drogowych, napadzie na bank i o tym, że nasza kadra piłkarska dobrze sobie radzi. A już miałem nadzieję, że usłyszę coś nowego. Łykam herbatę, wdychając ciężko.

Kłęknałem przy zwłokach Iskry, a lzy napłynęły mi do oczu. Powoli wstałem i podszedłem do umywalki. Łóżko, półka, kibel i umywalka z lustrem to wszystko, co znajdowało się w moim pokoju.

Odkręciłem wodę i przemyłem twarz. Łkając, spojrzałem na swoje odbicie. Cios był odruchem. Lustro rozbiło się na kawałki. Kilka z nich utkwiło w mojej dłoni.

Drzwi do celi otwały się. Bez zastanowienia ruszyłem w stronę kontrolera – to on musiał zaszczyć czymś Iskrę. Szedłem w jego stronę; w stronę człowieka, który patrzył na mnie tym obojętnym wzrokiem. Kontroler podnosi pistolet. Nie miałem szans zrobić uniku. Trafił w mnie z paralizatora w pierś. Wiązka była na tyle silna, bym nie mógł się ruszać, ale i wystarczająco słaba, by nie pozbawić mnie przytomności. Widziałem, jak wchodzi i lekko kopie ciało Iskry, po czym skinieniem każe je zabrać dwóm ludziom w strojach roboczych, którzy wykonali jego rozkaz z taką samą obojętnością, z jaką on go wydał.

Wyszli z pokoju i zamknęli za sobą drzwi. A ja nie ruszałem się jeszcze długo po odzyskaniu czucia w rękach i nogach. Pragnąłem wrócić do tego stanu. Pragnąłem móc usprawiedliwić czymś swą bezczynność. Swą bezsilność i niemoc.

System domowy przerywa mi refleksyjne podziwianie wewnętrznej części powiek, komunikując pojawienie się Patricii. Wstałem i ruszyłem w stronę drzwi. Patricia jest lekarką. Czasem mówię, że też jestem lekarzem. Nie dlatego, że jako Nauczyciel rozumiem podstawy medycyny i znam się na neurologii, ale dlatego, że przecież usiłuję leczyć ludzką duszę. Ale wróćmy do Patricii. Pewnie dziwi cię, że mam żonę, prawda? Cóż, wspominałem przecież, i pewnie jeszcze nieraz wspomnę, że jestem całkiem normalnym człowiekiem. A przynajmniej za takiego się uważam. Ona mnie popiera, w przeciwieństwie do większości społeczeństwa. Cóż, nie zawsze jesteśmy tacy, jakimi widzą nas inni.

Patricia jest ubrana w lśniąca, srebrną suknię. Dziś swym czarnym lokom pozwoliła spadać bezwładnie na ramiona. Jak zawsze uśmiechnąłem się na jej widok. Jak zawsze pocałowałem ją na powitanie. Zdjęła buty na obcasie i kazała systemowi domowemu przyrządzić pieczeń.

– Jak było w pracy? – spytałem, gdy usiedliśmy do stołu.

– Męcząco – odparła. – Czytałeś w wiadomościach o tym wypadku aerobusu na drodze szybkiego ruchu? Z ponad setki pasażerów trafiło do nas kilkunastu. Z tych, w których operowaniu brałam udział, tylko jeden nie przeżył. Ale jego szanse od początku były niewielkie – powiedziała, po czym skinieniem podziękowała robotowi za nalanie jej lampki czerwonego wina. Później robot obsłużył mnie, ukłonił się i ruszył po kolację,

a Patricia mówiła dalej. – Wiesz, miał złamany kręgosłup, a uderzenie w dach pojazdu rozłupało mu czaszkę. Widziałam jego wyciekający mózg...

– Nie słyszałem o tym, miałem klienta – przyznałem. – Kim byli pasażerowie?

– To była wycieczka szkolna publicznego liceum. W tym problem. Jak już mówiłam, ten chłopak... Nazywał się bodajże Steven... Wiesz, zamiast twarzy miał jedną wielką krwawą plamę. Ani jego samego, ani jego rodziców z pewnością nie byłoby stać na leczenie.

– Niech cieszą się ci, których uratowałaś – powiedziałem. Jak zwykle. Pomyślałem o chłopcu, który wie, że całkiem normalne życie, może nawet jest zakochany i przeżywa swe najszcześniejsze chwile, gdy nagle wszystkie jego marzenia w jednej sekundzie przyskają jak bańka mydlana.

Tylko martwi wiedzą, co oznacza „stracić wszystko”.

Robot przyszedł zaserwować nam pieczeń, do której podał ziemniaki i sałatkę warzywną.

– A jak tobie minął dzień? – spytała.

Opowiedziałem jej pokrótce o Katinie. Nie było w tej historii nic wyjątkowego, jednak moim zdaniem wszyscy, którzy do mnie trafiają, są na swój sposób jedyni w swoim rodzaju. Każdą historię warto uczcić, każdy szczegół jest istotny.

Z Patricią wziąłem ślub cztery lata temu. Poznałem ją dwa lata wcześniej, gdy sprawy związane z moim klientem wymknęły się spod kontroli. Pracowałem z młodym chłopakiem, który pomimo moich rad postanowił odebrać sobie życie. Pewnego dnia u moich drzwi zawitał jego ojciec z karabinem SMG Advanced, załadowanym specjalną amunicją rozrywającą. Musiałem potem wymienić szyby w oknach, kupić nową kanapę i drzwi. W sumie całe nasze spotkanie trwało około trzech sekund.

Później, gdy już każdy z nas pojechał w swoją stronę – ja do szpitala, a on do kostnicy – byłem bardzo skupiony na karceniu się w myślach za to, że dopuściłem do takiej sytuacji. Chwilę później poznałem Patricję, która laserowo odbudowywała zniszczone tkanki mojego draśniętego ramienia. Na jej identyfikatorze widniało bardzo znajome nazwisko. Po chwili oboje zrozumieliśmy, co zaszło. Patricia była siostrą mojego klienta, a więc córką człowieka, którego zabiłem. Nie zrobiła z tego afery, a umówiła się ze mną. Było z nią coś nie tak, więc od razu można powiedzieć, że do mnie pasowała – tak pewnie powiedziałoby społeczeństwo.

Dlaczego pokochałem Patricję? To właśnie próbuję wam wyjaśnić. Tylko nie mówicie, że dlatego, iż mnie rozumiała. Wiecie, miałem kiedyś takiego klienta, który był poetą. Jeszcze za życia napisał sobie epitafium, które wyjaśniało poniekąd przyczynę śmierci z własnej ręki. Do teraz na jego grobie przeczytać można taki czterowiec:

*Kartezjusz nie rozumiał  
Wiernych ma na sumieniu  
Nie da się bowiem pojąć  
Pojęć zawartych w rozumieniu*

Od czterech lat jesteśmy małżeństwem i pośród niszczonego społeczeństwa trzymamy się naprawdę wspaniale. Oczywiście, tęsknię trochę za Vianą, ale jawnie się do tego przyznaję. Znalezienie idealnego partnera to jak wygranie na loterii dziesięć razy

z rzędu, ale zdarza się – i mnie się udało. Viana była miłością mojego życia. Patricia wie, że za nią tęsknię. Nie oczekuję, że to z r o z u m i e. Ale Viany już nie ma. A ja jestem wdzięczny Patricii za to, że jest dla mnie tak wyrozumiała.

Po kolacji długo rozmawiamy, planując nadchodzące dni. Później włączamy jakiś film na holopanelu i oglądamy go, popijając piwo. Zawsze gdy tak siedzę, pijąc piwo i obejmując Patricię, a film zabrania mi dręczenia się myślami, mówię sobie, że to na takie chwile się czeka. Że tu właśnie skupia się i tłumaczy sens życia. Wspaniała kobieta, ustawkowane życie, odpoczynek. Smak piwa i rozluźnienie umysłu. Świadomość, że niedługo będę się kochał z Patricią albo przynajmniej zasnę z nią u boku, ze świadomością, że kolejnego dnia mogę uratować niejedno istnienie.

Film jest jak najbardziej ciekawy. To western. Uwielbiam westerny. Wspominałem już jednak, że jestem normalnym człowiekiem. Dążę do tego, iż idę do toalety. Przechodząc obok lustra, zawsze muszę w nie spojrzeć, a – jak wiadomo – bywa to bardzo zgubne. Patrzę sobie wtedy w oczy. Moje karmazynowe oczy, o kolorze tak bliskim kolorowi krwi. Krwi, której tak wiele przelało się za mojego życia. Patrzę na siebie i zastanawiam się, ile wiem o człowieku w lustrze. A z lustra przygląda mi się postawny, dość umięśniony mężczyzna o wąskich ustach, małym nosie i wprawiającym w zakłopotanie spojrzeniu, który w sytuacjach krytycznych lubi móc zakryć się swymi kasztanowymi włosami, dlatego prawdopodobnie zapuścił je aż do ramion.

Wtedy właśnie zadaję sobie pytanie: „Kim bym teraz był, gdybym nie został Nauczycielem?”

„Trupem” – podpowiada głos w mojej głowie, a ja nie jestem pewien, czy przyporządkować go do aniołka z prawego ramienia, czy diabełka z lewego.

Obmywam twarz i wracam do Patricii.

Nigdy nie zdarza mi się widzieć Viany w Patricii. Nigdy nawet przez przypadek tak do niej nie powiedziałem. Są zupełnie inne. Na Vianę byłem skazany, ale to było skazanie, do jakiego dąży każdy człowiek. Skazanie na wolność.

Vianę poznałem jeszcze w Szkole Życia. Miałem już szesnaście lat. Nie wiedziałbym tego, gdybym nie liczył upływających dni za pomocą kresek na ścianie pokoju. Byłem już zupełnie innym człowiekiem. Miałem też inne prawa. Mogłem już w miarę swobodnie przemieszczać się po kompleksie w wyznaczonych godzinach. Pod żadnym pozorem nie wolno mi było wychodzić, ale to inna rzecz.

Trenujemy walkę wręcz. Nie wiem, dlaczego, ale wciąż ze sobą walczymy. Jest ciemno, na dworze pada deszcz, każdy ma krótko obcięte włosy i ten sam szary strój. Uderzam przeciwnika od boku, ale ten blokuje cios i prawym prostym uderza w gardło. Robię krok w tył, odbijam się i kopię w brzuch. Przeciwnik unika, obraca się i podcina moją nogę. Uderzam plecami o ziemię, rozchlapując kałużę brudnej wody. Właśnie wtedy kontroler zarządza koniec treningu, a przeciwnik podaje mi rękę.

Gdy jej dotknąłem, nie mogłem pojąć, jak długo żyłem w nieświadomości piękna, które przez ten cały czas znajdowało się tak blisko mnie. Gdyby uroda była ekspresją czyjegoś wnętrza, to tak właśnie wyglądałaby idealna dla mnie dziewczyna. Pomogła mi się podnieść, a ja spojrziałem w jej błękitne oczy. Pozwoliłem kropłom deszczu spływać po mojej twarzy. Nie odzywałem się. Nie puszczałem jej dłoni.

– Nazywam się Viana – powiedziała dziewczyna.

Szkoła nauczyła mnie przywiązywania większej wagi do każdego ze zmysłów. Viana miała piękny głos. Nieważne o czym by mówiła, chciałem jej słuchać. Przeszedłem się z nią po dziedzińcu. W końcu mogłem z kimś pogadać o rzeczach, które nie są ważne dla świata, a są ważne dla mnie. Rozmawialiśmy o tym, jak żyliśmy, zanim trafiliśmy do Szkoły. O bólu, jakiego tu doświadczamy. O tym, jak będzie wyglądało nasze życie, gdy już stąd wyjdziemy.

Mówiliśmy o tym, co lubimy i o tym, co można naszym zdaniem wykreślić z listy rzeczy istniejących. By świat stał się lepszym miejscem.

Tak my, dwoje adeptów Szkoły Życia, ubrani w szare koszulki, czarne spodnie i ciężkie, czarne wysokie buty, pozwalaliśmy, by deszcz spływał po nas. I rozmawialiśmy. Podziwiałem ją. Była typem kobiety, która zachowa dziecięcą urodę nawet i po czterdziestce. Wyglądała, jakby uśmiechem mogła zmieniać świat. W jej mimice było coś specyficznego, jakby do uśmiechu służyły jej bardziej oczy niż usta.

I tak staliśmy, podziwiając plac treningowy. Od tego czasu każdą wolną chwilę spędzaliśmy razem.

O poranku, oczekując na kolejną wizytę pana Katina, postanawiam dokończyć swój rysunek. Zdecydowanie lepiej tworzy mi się wieczorami i w nocy, ale akurat tak się złożyło, że wena przyszła rano. W moim dziele trzeba tak naprawdę tylko dorysować szczegóły i cieniowanie. Starcza kilkanaście minut intensywnej pracy i stanowczego odmierzenia każdego pociągnięcia ołówkiem, a udaje mi się zachować proporcję i, mam nadzieję, udaje mi się też przekazać to, co przekazać chciałem.

Mój rysunek przedstawia cyborga – człowieka z ręką robota, który w tej właśnie ręce trzyma pistolet. Pistolet, którego lufę wkładał sobie w usta. Mam nadzieję, że udało mi się wrysować strach w oczy tego człowieka. Gdyby ktoś kiedyś miał okazję to zobaczyć i spytać: „Kto to?”, najtrafniejszą odpowiedzią byłoby: „Každy z nas”.

Wkładam rysunek do szuflady. Otwieram teczkę i zastygam na chwilę, wpatrując się w ostatni ze swych rysunków.

Viana.

Tak, byłem w niej zakochany, ale to nie jedyny powód, dla którego uważałem, że jej uśmiech jest zaraźliwy. On po prostu był taki... „Niewinny” to złe słowo; powiedziałbym, że wręcz przeciwnie, jej uśmiech był słuszny, spełniony.

Kompleks był jak zamek, jak twierdza. W centralnej części znajdowały się wieże i mniejsze budynki szkoleniowe. Z kolei całość otoczona była murem, do którego nawet nie mogliśmy się zbliżyć. Jednak na brak miejsca trudno było narzekać, do ogromu kompleksu nie sposób było się przyzwyczaić.

Dzięki nabytym na zajęciach zdolnościom manualnym i akrobatycznym przesiadywaliśmy z Vianą w coraz to dziwniejszych miejscach. Do naszych ulubionych należała najwyższa wieża szkoły. Mowa oczywiście o jej zewnętrznej części, na którą dało się dostać tylko wspinając się po ścianie budynku. Po prostu lubiliśmy siedzieć w miejscach, w których oficjalnie nie mogliśmy przebywać.

Tam, pod gołym niebem, po raz pierwszy ją pocałowałem. Tam wyznaliśmy sobie miłość. A co najważniejsze, tam zawarliśmy najważniejszy w naszym życiu pakt.

Postanowiliśmy, że razem, we dwójkę dokonamy czegoś, czego nie dokonał jeszcze nikt inny przed nami. Postanowiliśmy uciec ze Szkoły, by wieść wspólne, normalne życie.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – pytałem, gdy siedzieliśmy na najwyższej wieży, podziwiając odległy o wiele kilometrów las.

– A czy czegokolwiek w życiu możemy być pewni? – spytała.

– Nawet tego nie jestem pewien – przyznałem, patrząc w jej oczy.

– I to jest właśnie piękne. – Uśmiechnęła się.

Nawet nie wzdycham. Gdybym miał wzdychać za każdym razem, gdy coś przypomni mi o Vianie, musiałbym robić to niemal bez przerwy. Tak czy inaczej, cieszę się z kolejnego powstałego dzieła. Trochę boli świadomość, że to musiało powstać. Boli mnie też, że nie zmieni ono świata. Przykro mi, będę się starała zmienić świat, pomagając jednostkom. To chyba najlepszy sposób.

Pan Katin znów przyszedł punktualnie. Powitałem go serdecznym uśmiechem, po czym zaprosiłem do stołu. Usiadł, a ja zaproponowałem mu kawę, na co zgodził się ochno. Proponowanie klientom kawy nie należy do moich obowiązków, ale – jak wspomniałem – jestem zwykłym człowiekiem i staram się być po prostu miły.

Poza tym po jego stanie widać było, iż kawa mu nie zaszkodzi.

– Wyprowadziłem się z domu, nie mam gdzie mieszkać – mówił – powiedziałbym, że matka mnie wyrzuciła, ale to zabrzmiałoby, jakbym miał pretensję, a tak nie jest. Widzi pan, to było słuszne. Jestem złym człowiekiem.

– Myślę, że żaden zły człowiek nie określi sam siebie w ten sposób. Poza tym nie ma ludzi jednoznacznie złych – powiedziałem.

Katin napił się kawy. Milczał chwilę.

– Nie ma pan czasem wrażenia, że apokalipsa wyglądać będzie zupełnie inaczej, niż ludzie przewidują? – spytał.

– Co ma pan na myśli? – zapytałem z ciekawioną.

– No... Że nie będzie to wybuch, a drobny płomyk, który zwyczajnie, powoli się wypali. A tym właśnie płomykiem będzie ludzka dusza. Sztuka, piękno, kultura, człowieczeństwo – mówił smutno, wbijając wzrok w ziemię. W końcu podniósł wzrok. – Umieramy – powiedział poważnie.

– Umieramy z sekundy na sekundę, panie Katin. I z sekundy na sekundę rodzimy się na nowo – zacytowałem swe zwyczajowe powiedzenie. – Ale ma pan rację. Płomyk gaśnie. Ale właśnie my możemy temu zapobiec.

– Naprawdę pan tak myśli? Proszę, chciałbym usłyszeć pana prywatne zdanie. Co myśli pan nie jako Nauczyciel, a pan jako pan, tak po prostu, osobiście. Czy ludzkość da się jeszcze uratować?

Odstawiłem kawę i spokojnie skrzyżowałem dłonie, patrząc na niego z zaciekawieniem.

– Po pierwsze jestem Nauczycielem i powinien pan wiedzieć, iż jest to nie tylko zawód, a także to, kim jestem na co dzień, po prostu – odparłem. – Po drugie jest pan pewien, że to ludzkość trzeba ocalić? Bo widzi pan, mnie wydaje się, że ludzkość jest raczej tym, co trzeba pokonać. Bezmyślną masą, która stara się nas zdominować. Ocalić nie można, a trzeba. Trzeba ocalić człowieka.

Wtedy też trzeba było ocalić człowieka. Dwa marne ludzkie istnienia. Mnie i Vianę. Byliśmy pewni, że pozostanie w Szkole nie przyniesie nam nic dobrego. Uczymy się tu tylko cierpieć. Wiedzieliśmy jednak, z jakim ryzykiem wiąże się próba ucieczki.

Rozmawialiśmy o tym wielokrotnie i oboje byliśmy zgodni, że nawet jeśli mamy zginać, warto spróbować.

Plan nie był doskonały; doskonałe plany nie istnieją. Jednak był naprawdę dobry. W przeddzień akcji długo siedzieliśmy na najwyższej wieży, w milczeniu, przytuleni. Nie chcieliśmy, by wyglądało to na pożegnanie. W końcu nazajutrz jedynym, co mieliśmy pożegnać, była Szkoła.

Przez noc niemal nie udało mi się zmruzzyć oka. Moje dotychczasowe życie ograniczało się do tak małej przestrzeni... Bałem się, że nie uda mi się ogarnąć ogromu świata.

W końcu nastał świt, a kontroler otworzył mój pokój. Rzuciłem mu wrogie spojrzenie i ruszyłem na trening. Plan mieliśmy zacząć realizować zaraz po nim. Byłem strasznie podekscytowany.

Viana nie pojawiła się na treningu. Przez długi czas myślałem, że zgubiłem ją w tłumie – ale nie; Viany nie było, a coś takiego nie miało prawa się zdarzyć. Nie przypomniałem sobie, żeby kiedykolwiek, przynajmniej od początku mojej nauki w Szkole, ktośkolwiek nie pojawił się na lekcji.

Natychmiast ruszyłem w stronę kontrolera. Spokojnie i bez wzbudzania podejrzeń.

– Gdzie jest Viana? – spytałem.

Mina kontrolera jak zwykle zmieniła się z obojętnej na bardziej obojętną. Przynajmniej tak żartobliwie mówiliśmy o tym w Szkole. Ale wtedy nie było mi do śmiechu.

– Nie musimy ci się tłumaczyć z naszych decyzji – powiedział. Nie jestem w stanie zapomnieć jego postawy wojownika, opadających na ramiona czarnych włosów i oczu, które patrzyły na mnie z góry.

– Decyzji? – zdziwiłem się. – Co jej zrobiliście!?

– Nic – odparł. – Zabraliśmy ją stąd. Dokończysz szkolenie w innym kampusie. Już się nie zobaczycie.

W lot pojąłem, o co chodziło. To było tak samo, jak z Iskrą. Tym razem dali mi człowieka. Widzieli, że przyzwyczailem się do Viany, że ją pokochałem. Że jesteśmy ze sobą szczęśliwi. Ale szczęśliwi, tu, w Szkole Życia? Nie mogli na to pozwolić, więc mi ją zabrali. Na zawsze.

Reakcja była odruchowa. Rzuciłem się na kontrolera, uderzając od lewej. Ten tylko wyprostował dłoń, w której trzymał swój kij. Trzasnął mnie nim w twarz, a zanim przeszedł szok nagłego bólu, powalił mnie na ziemię, odwrócił się i ruszył przed siebie. A ja usiłowałem sprawić, by zły wyglądały na skutek złamania nosa, a nie serca.

Później długo siedziałem w swym pokoju, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Wtedy właśnie po raz pierwszy poczułem pragnienie pustki. Pustki, która ocali mnie przed przeciętnością i człowieczeństwem.

Liczyłem kolejne dni, bez sensu i nadziei. Stawiałem cztery pionowe kreski, piątą zawsze rysowałem na skos. Tak liczyłem mijający czas. Niedługo zacnie mi brakować miejsca na ścianie, pomyślałem wtedy.

– Niech pan nie lekceważy pustki – upomniałem Katina. Nie usiłowałem nadać memu głosowi kojącego tonu. Bardzo nie lubiłem, gdy ktoś nadużywał słowa „pustka”. – Niech pan nie da się jej zdominować.

– Ale ja naprawdę... – mówił zmieszany – W tej sytuacji śmierć wydaje się być wstępnym krokiem.



– Śmierć to najgorsze z możliwych cierpień – powiedziałem, patrząc mu w oczy. – Wydaje ci się, że uciekasz od problemów, ale tak naprawdę niezależnie co się zdarzyło, cierpisz jeszcze bardziej. Cierpisz od niebytu. Nieistnienie boli.

Joseph Katin westchnął ciężko.

Rozumiałem go; byłem kiedyś w takim stanie ducha, jak on teraz. Nie poznawałem samego siebie. Każdy dzień w Szkole mnie bolał. Każdy kolejny dzień na świecie był po prostu kolejną dawką cierpienia. Wciąż myślałem o Vianie. Czułem się źle we własnej skórze. Nie chciałem nawet sam podejmować ucieczki. Po prostu odpuściłem. Zupełnie się poddałem.

Mój pokój miał okno. Pamiętam bardzo dobrze. Nie miało krat, ale było zbyt małe, by móc przez nie przejść. Jednak nawet jeśli by się to komuś udało (choć musiałby być nie większy od noworodka), i tak czekała go za nim ponad stumetrowa przepaść. Jednak bardzo się cieszyłem z jego istnienia. W nocy mogłem patrzeć na księżyc. Mogłem mówić sobie, że przecież jestem zwykłym, normalnym człowiekiem. Że przecież żyję pod tym samym księżycem, co wszyscy.

Myślę o tym, żegnając się z Katinem. Podaję mu rękę i patrzę w oczy. Ten człowiek zdecydowanie zasłużył na odpoczynek, ale świat jeszcze długo nie da mu wytchnienia. Mam nadzieję, że będzie się trzymał. Mam nadzieję, że mu pomogłem. On naprawdę nie jest mi obojętny. Nowy świat zbudować można zmieniając jednostki, a nie społeczeństwa.

Katin wychodzi, a ja przeciągam się i podchodzę do okna. Ulewa przypomina mi dzień, w którym podjąłem decyzję. Ruszam w stronę szafy. Mam jeszcze trochę czasu, ale dobrze byłoby już wybrać strój. System dobiera dla mnie wysokie, eleganckie buty, atramentowe, wąskie spodnie, czarną koszulę i długi, skórzany płaszcz. Zakładam komputer na nadgarstek i wychodzę z mieszkania. Windą zjeżdżam na dół, słuchając po drodze wyświetlanych na ścianach reklam pasty do zębów.

Na dole mijam kilku ubranych w dresy chłopaków, którzy dzielą się jednym, tanim papierosem i odwracają się, by nie patrzeć mi w oczy. Nie cieszę się tu najlepszą opinią.

Wychodzę z bloku i podrzucam aeroparasol, który otwiera się na moją głowę i zawisa na napędzie antygravitacyjnym. Ruszam w stronę ruchliwej ulicy, mijając przygnębięne sylwetki spieszących się ludzi. Przechodzę przejściem naziemnym i ruszam wzdłuż ulicy, mijając knajpki i sklepiki. W końcu zatrzymuję się przy chińskiej restauracji, włączam parasol i wchodzę do środka.

Ten chłopak, nawet nie pamiętam jego imienia, też był Chińczykiem. Wtedy w Szkole podszedł do mnie i zaczął mówić. Opowiadał, że słyszał z różnych źródeł, iż Viana nie żyje. Ktoś inny twierdził, że uciekła z nowej Szkoły, ale on uważa, że wersja ze śmiercią podczas próby ucieczki jest bardziej wiarygodna. Pytał, co ja o tym wiem.

Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nic. Ale obrazy martwego ciała Viany załaty mój umysł.

Skośnooki kelner odbiera mój płaszcz i łamaną angielszczyzną pyta mnie, czy robiłem rezerwację, a ja podaję mu nazwisko Diorsona.

Okazało się, że Aaron i jego żona byli już na miejscu. Patricia też. Trudno się dziwić, słyngli z punktualności.

Witam żonę, całuję dłoń Jennifer i podaję rękę Aaronowi. W sumie tylko ktoś tak wysoko postawiony jak on może przyjaźnić się z Nauczycielem, nie narażając się na

dyskryminację w pracy i w życiu prywatnym. Trudno mi to zrozumieć, jestem przecież normalnym człowiekiem.

Aaron jak zwykle narzeka na przepracowanie. Trudno się dziwić, obaj pełnimy bardzo odpowiedzialne funkcje. I nikt nas nie lubi. Ja jestem Nauczycielem, on politykiem. Ja leczę jednostki, on usiłuje leczyć społeczeństwo. Patricia sugeruje, byśmy przestali rozmawiać o sprawach zawodowych.

Kelner przynosi nasze ulubione czerwone wino.

Jego kolor przypomina mi krew. Wspominam ten moment, Kiedy szedłem na trening, a mój umysł i serce po brzegi pełne były bólu po stracie. I myślę o tym, co powiedział mi ten Chińczyk. Rozpoczyna się walka, a on staje naprzeciw mnie.

Czuję w głowie eksplozję. Tracę kontrolę. Chińczyk uderza sierpowym w skroń, ale ja odskakuję. Uderza tak samo z drugiej strony. Blokuję jego rękę. Głową uderzam w jego twarz. Wytryskająca z nosa krew ogłupia go na sekundę. Uderza na oślep. Ta sekunda wystarcza mi, by zadać cios w gardło i w brzuch, a gdy ten zgina się w pół, ja uderzam od dołu, w podbródek. Chińczyk upada na plecy. Dostakuję do niego i biję go w twarz. Raz, drugi, trzeci. Przystają liczyć. Chwilę trwa, zanim orientuję się, że przestał się ruszać.

Wstaję, a moje ręce zaczynają drżeć. Kontroler stoi nade mną z obojętnym wyrazem twarzy. Skinieniem przysyła pracowników, którym każe zabrać ciało. Tylko niektórzy adepci przestali walczyć, by przyjrzeć się zamieszaniu.

Tak, zabiłem człowieka. Własnymi rękami. Nie mam wytłumaczenia. Mam tego świadomość nawet gdy robię rzeczy dobre, takie jak ratowanie ludzkich umysłów. Mam też tę świadomość, gdy robię rzeczy neutralne, jak kolacja ze znajomymi. Mimo wszystko dalej uważam, że jestem normalnym człowiekiem.

Późnym wieczorem żegnamy się z Aaronem i jego żoną. Odprowadzamy ich do samochodu, po czym idziemy do domu. Wieczór spędzamy tak, jak ostatnio. Przed snem pokazuję Patricii mój rysunek, który ona jak zwykle chwali jako „słuszny”. Cóż, z jednej strony to dobrze, ale prawdę mówiąc szkoda, że jest słuszny. Że musi taki być.

Kolejnego dnia rano przyszła wiadomość, iż mój klient, Joseph Franklin Katin, popełnił samobójstwo, rzucając się z dachu wieżowca. Wyobraziłem sobie, jak pisze list, myśląc o ludziach, których w życiu zawiódł. Pewnie pisze, że zaszło to za daleko, by mógł wszystko naprawić. A może nie napisał listu, by wymazać na ziemi wszelki ślady po sobie?

Zastanawiam się nad tym, podchodząc do ściany w swoim gabinecie. Tej, której klienti nie mogą zobaczyć. Biorę marker i przykładam go do ostatnich czterech pionowych kresek. Przekreślam je na ukos, powielając wzór, który pokrywa całą ścianę.

Niedługo zaczniesz mi brakować miejsca.

Rozumiem. Pamiętam, jak sam poszedłem do swojego pokoju w Szkole. Jak udało mi się naostrzyć kamień i przemyśleć całe swe życie. Pomyślałem o tym, co tracę i przyłożyłem sobie ostrze do nadgarstka.

Pewnie ciekawi was, co mnie powstrzymało. Zastanawiacie się, dlaczego nie odebrałem sobie życia. Wiecie, to jest właśnie powód, dla którego często się powtarzam. Nie słuchacie uważne. Zacząłem od stwierdzenia: „Zdefiniowałem pustkę”.

Umarłem.

Wtedy czułem pustkę. Śmierć jest czymś, czego nikomu nie życzę. Pustka to cierpienie.

Kładę na stole dłonie, przyglądając się poziomym, rozległym bliznom na nadgarstkach.

Gdy się obudziłem, powiedzieli mi, że zakończyłem szkolenie. Że mogę być Nauczycielem. Powiedzieli, że jestem wolny. Byłem już przecież nowym człowiekiem. Tego dnia naprawdę umarłem i narodziłem się na nowo. Nienawidziłem ich, tych, którzy to wszystko wymyślili, ale byłem im zarazem ogromnie wdzięczny.

Po długich poszukiwaniach dowiedziałem się, że Viana naprawdę zginęła podczas próby ucieczki. Tego się spodziewałem. Można powiedzieć, że to wyczułem. Później zostałem Nauczycielem i poznałem Patricię.

Jednak jakiś czas temu zrozumiałem coś. My, Nauczyciele, nie jesteśmy w stanie wytłumaczyć wam, czym jest pustka. Czym jest śmierć. Nie jesteśmy w stanie was od niej odciągnąć. Jesteśmy kręgosłupem nowego społeczeństwa. Jakby to powiedział poeta, przeżyją tylko ci, którzy już raz umarli. Tylko poznawszy śmierć, możesz docenić życie. Zdefiniowałem pustkę. Powyższa historia jest moją definicją pustki. Jest też pewnego rodzaju lekcją. W końcu jestem Nauczycielem. Jednak jeśli nie chcesz mi wierzyć, bo uważasz to za propagandę, uspokajanie społeczeństwa przed wybuchem paniki, czy coś tego typu, to uwierz mi jako osobie, człowiekowi. Mówię ci, spełniając dobry uczynek, byś wyciągnął wnioski z mojej historii. Mówię ci to jak człowiek człowiekowi.

Jestem w końcu tylko człowiekiem. I bardzo się z tego cieszę.



Szymon Gonera

## Lilly

Lilly była zabójczo piękna. Włoszka. Drobna, z pozoru delikatna. Tamtego wieczoru, gdy spotkałem ją w lombardzie Indygo, w przemysłowej dzielnicy Atlanty, wyglądała czarująco. Lśniła w delikatnym świetle jarzeniówek i od razu wiedziałem, że żadnej innej nie pragnąłem nigdy tak, jak jej.

Uwielbiała, gdy czule przesuwałem palcami po jej uroczych kształtach. Powoli poznawałem każdy fragment jej przepięknej powierzchni. Cał po calu. Gdy kładłem ją na łóżku, jej ciemna karnacja kontrastowała z białą pościeli. Nacierałem ją olejkami, wydobywając z niej cudowny blask, a ona szeptała, jak bardzo mnie kocha.

Gdy trzymając ją, szedłem ulicą, czułem się niepokonany. Czułem, że mógłbym władać światem. Czułem w sobie moc.

Tak... zabójczo piękna Lilly. Skrywała mordercze tajemnice. Ci, którzy ją znali, drżeli, gdy groziłem, że mogłaby którąś z nich ujawnić. Poznałem te wszystkie małe sekrety i wierzcie mi – gdybym spotkał Lilly z innym facetem, też bym się bał.

Tak jak wtedy, w barze Cockroach. Nie przypominam sobie zbyt wielu spelun gorszych od tego miejsca i nie pamiętam, dlaczego poszliśmy właśnie tam. W każdym razie była przy mnie i to było wspaniałe. A tamten koleś usilnie próbował spieprzyć ten piękny nastrój.

Złapałem Lilly i ścisnąłem jej język, a ona uwolniła jeden ze swoich sekretów.

Huk wystrzału rozdarł zatęchłe powietrze speluny.

Gdy ucichł, rozległ się cichy brzęk upadającej na podłogę łuski.





Rys. K. Kubacka

Katarzyna Rupiewicz

## Sąsiadka

– Wszystko zaczęło się od dziury w podłodze – mówię.

Kumpel czeka cierpliwie, gdy dopijam trzecie piwo i odstawiam kufel. Wie, że nie należę do frajerów, którzy umawiają się z kolegami w knajpie, gdy jakaś cizia wystawi ich do wiatru przed, po albo w trakcie. Skoro mam potrzebę z kimś pogadać, to muszę mieć powód. Mam.

– Dwa miesiące temu wynająłem mieszkanie – kontynuuję. – Klitka, ale bez starych. Mieszkanie wiadomo, jak to wynajęte. Niby wszystko odpicowane, podwieszane sufity, gładzie i wystrój, jakby ktoś wyniósł pół lkei, ale już po godzinie zastanawiasz się, czy ci się to wszystko zaraz na łeb nie spierdzieli.

Zresztą, wiesz. Pierwszego dnia wieszam ręcznik w łazience. Dup. Spadł razem z wieszakiem. Jak chciałem zamontować go z powrotem, to śrubka z tego wieszaka poleciała w pizdu do kratki odpływowej. Kratka oczywiście na wierzchu, bo po co to замуrowywać. Zajrzałem tam i zobaczyłem światło i coś na dole. Normalnie jakby ta dziura była wybita do łazienki sąsiadów. Czujesz?

Następnego dnia kupiłem śrubokręt i odkręciłem tę kratkę. No wiesz, tak z ciekawości. Patrzę i faktycznie: przez drugą kratkę, czy co to tam było, wyraźnie widzę kabinę prysznicową. Od razu obadałem sufit u siebie, ale żadnych dziur nie było. No więc siedzę na podłodze i myślę „What the fuck”, gdy słyszę, że ktoś tam wszedł do łazienki. No i wiesz, zgasilem światło, a potem na paluszkach wróciłem do tej dziury. Normalnie stary, jak jakiś zbok. Serce mi wali jak głupie, a ja podglądam sąsiadów.

Drzwi kabiny rozsunęły się i weszła ona. Człowieku, jak na filmach. Taka laska, że jakbyś ją przeleciał, to byś opowiadał o tym swoim wnukom. Cycki wielkie i sterczące jak piłki, tyłek jak z reklamy Reeboka, twarz też niezła, a nogi? Chłopie, stanąłby ci na widok samych nóg.

Scena jak z pornola. Ona polewa się wodą, a potem namydla ciało. No wiesz, głaszczesz te swoje balony, opiera nogi na krawędzi kabiny, pochyla się, pręży... Wtedy, za pierwszym razem, nawet nie drgnąłem. Normalnie nie oddychałem, dopóki nie usłyszałem, że dziewczyna zamyka za sobą drzwi.

Najpierw pomyślałem, że mam cholerne szczęście. Potem, że to chore. Nie będę przecież gapił się na laskę przez dziurę w podłodze i walił konia w kafelki. I co będzie, jak ona się zorientuje? Jak tak kombinowałem, to mi przyszło do głowy, że może ją to



Rys. 1. Pacek

kręci. Przecież musiała wiedzieć, że ma dziurę dokładnie nad sobą. No ale każdy ma w mieszkaniu jakąś kratkę wentylacyjną i zakłada, że żaden zbok nie siedzi po drugiej stronie.

Co ty byś zrobił?

Właśnie, ja też nie wiedziałem. Chciałem to załatwić jak normalny facet: poznać ją, umówić się i kiedyś namydlać pod prysznicem. Tylko że wiadomo jak to wyglądało. Wychodziłem z domu kilka razy dziennie. Zatrzymywałem się na jej piętrze, no i dupa. Jakoś nigdy na siebie nie wpadliśmy. A prysznic wiedziałem, że weźmie. Tylko frajer zrezygnowałby z takiej okazji, więc się gapiłem. Co wieczór.

Nie mówię, że mi nie było głupio. Próbowiałem przestać. Najpierw kupiłem sobie Playboya, potem ściągnąłem parę pornoli, ale w porównaniu z przedstawieniem na żywo...

Wiem, co powiesz: „Czemu nie znalazłeś sobie baby?”. Rzecz w tym, że znalazłem. Jakaś tam koleżanka kogoś, poznana na imprezie. Ze dwa czy trzy razy musiałem się z nią umówić na gadanie, nim się dała zaciągnąć do łóżka, ale ja nie lubię, jak są łatwe. No i wiesz, dziewczynie naprawdę niczego nie brakowało. Cycki trochę małe, ale tyłek w porządku i szparka też niczego sobie. Zaczynamy ten tego, a ja myślę o tamtej. Patrę lasce w oczy i wyobrażam sobie, że jest moją sąsiadką. A rano...

Człowieku! Rano ta moja dziewczyna spytała, czy bym nie poszedł z nią pod prysznic! A mnie zatkało. Udałem, że o czymś zapomniałem i natychmiast muszę wyjść. Bo sobie pomyślałem, kurczę, a jak na jej widok już mi nie stanie, albo tamta na dole nas usłyszy?

Wtedy zrozumiałem, że jest źle. Wieczorem wytrzymałem i nie zajrzałem do dziury. Następnego dnia wymiękłem. Dobra, podglądałem ją, ale zaraz potem zszedłem na dół. Pukam do jej drzwi, raz, drugi, nie otwiera. Ja spocony jak ... jak cholera. Nie wiem, co bym jej powiedział, gdyby otworzyła.

W każdym razie nie wyszła. Pomyślałem sobie wtedy, że może się boi, albo nie chce w szlafroku obcemu facetowi otwierać. W sumie to jej się nie dziwiłem.

Następnego dnia przyszedłem do niej po pracy. Normalnie za dnia, z jakąś wymówką skleconą na szybko. Pukam i chuj. Nie otworzyła. Pomyślałem, że może jej nie ma i przyszedłem za godzinę. Też nic, a dziesięć minut później już brała prysznic.

A teraz stary zaczyna się najgorsze. Kolejny dzień, wychodzę rano do roboty, a tu smród na klatce taki, że o mało w drzwiach się nie porzygałem. Na schodach zamieszanie i kupa ludzi. Schodzę niżej. Drzwi do jej mieszkania otwarte, policja, lekarze, jak na filmach. Zaraz mnie jakiś glina dopadł i przepytuje, kto jestem, gdzie mieszkam, jak długo.

Ja już serce w gardle, bo jak się lasce coś stało, to kogo będą podejrzewać jak nie zboka, który ją codziennie podglądał. No to bełkoczę coś tam, że nigdy się nie spotkaliśmy, a on mi, że wie. Stary, ja ledwie pamiętam, co ten glina do mnie powiedział. Do dziś nie jestem pewien, czy mi się nie wydawało. Ta dziewczyna miała na imię Anita. Umarła przynajmniej miesiąc przed tym, jak się wprowadziłem. Tylko nikt z sąsiadów się nie kapnął i leżała tam tak.

– Pod prysznicem? – Kumpel pyta zdziwiony.

– Nie wiem, gdzie! Stary, ja tam nie wróciłem. Pojechałem prosto do rodziców i przekonałem starego, żeby przywiózł moje rzeczy. Nie wiem, gdzie leżała ani jak



umarła. Nie chcę wiedzieć. Bałem się, że policja po mnie przyjedzie, bo spieprzyłem stamtąd w takiej chwili. Poza tym jak mogłem nie czuć smrodu, mając dziurę wybitą do jej mieszkania?!

Słuchaj teraz! Przekabaciłem starego, żeby pojechał tam jeszcze raz. Mówię mu, żeby rzucił okiem na podłogę, bo mi coś kiedyś wpadło, a właścicielka może się hajać, jak będzie odkręcona kratka. Wrócił wkurwiony. No i drze się, że tam przecież w łazience nie ma żadnej kratki odpływowej!

Milknę w końcu. Czuję się jak wariat, w dodatku zbyt trzeźwy na tę opowieść. Podchodzę do baru, zamawiam jeszcze dwa piwa i podsuwam kumplowi jedno. Nie pije, patrzy tylko na mnie dziwnie. Może zastanawia się, czy dzwonić do psychiatryka.

– Pewnie ją zamordowali. – Mówi zupełnie poważnie. – Tę Anitę i ona teraz chce, żeby ktoś odnalazł jej mordercę. No wiesz, jak na filmach.

– Chyba ją pogięło! – krzyczę. – Gniła przez kilka miesięcy i nikt nawet nie zauważył, że kipnęła, a teraz myśli, że ktoś będzie nadstawiał tyłka, szukając jej mordercy?!

– Nie znam się na tym, człowieku. Jeśli widziałeś ducha z gołymi cyckami, to chyba czegoś od ciebie chciał.

– Ja się tej lasce nie oświadczyłem! Wynająłem mieszkanie obok. W dupie mam czego chciała! Ja chcę mieć święty spokój.



Andrzej Trybuła

## Polowanie na Fritza Langa

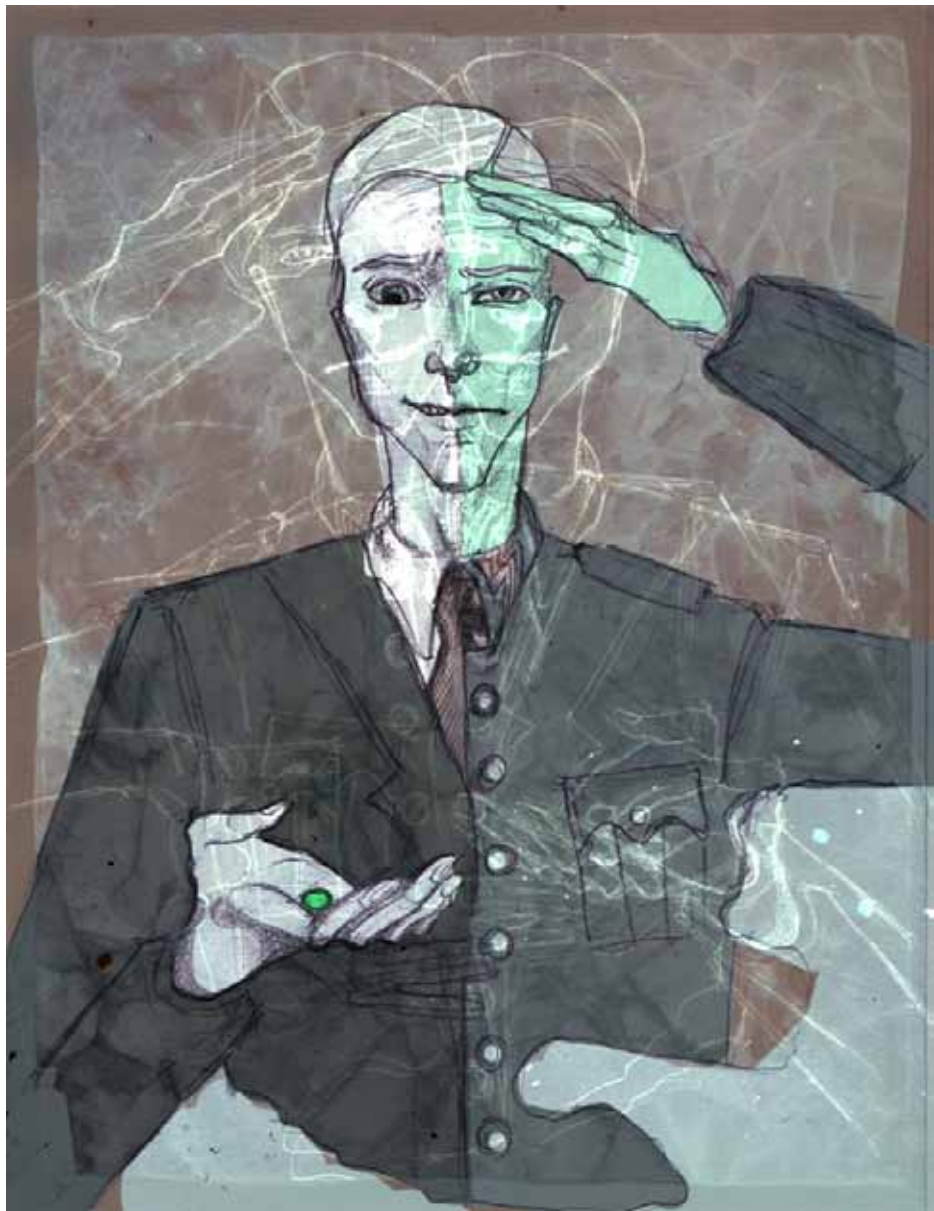
### 1.

O trzeciej trzydzięci nad ranem pozbawiona oznaczeń biała furgonetka wjechała na teren starej hali przemysłowej w mieście Opolu na południu Polski. Gdy pojazd stanął, Devonser van Culgenar – znany ze swego ekscentrycznego zachowania holenderski miliarder, a przy tym zapalony myśliwy o wyraźnych skłonnościach do ryzyka, ostatnio wyraźnie stroniący od ludzi i przedstawiający się częściej jako „pan Horst” – wyprowadzony został z mrocznego wnętrza furgonetki wprost na zimną, betonową posadzkę. Przy czym słowo „wyprowadzony” w tym przypadku oznaczało brutalne wypchnięcie wprost w objęcia czekającego na zewnątrz draba.

– Czy wy przypadkiem nie przesadzacie z tymi środkami bezpieczeństwa?! – Devonser odepchnął gwałtownym ruchem ręce osoby próbującej ściągnąć mu z oczu czarną opaskę. – Co to, kurwa, jest?! Co to ma znaczyć? Od dwóch dni wozicie mnie po całym świecie, traktując gorzej niż śmiecia. To jakaś paranoja! Za dziesięć miliardów można było oczekiwać chociaż minimum niezbędnego komfortu przysługującego dobrym klientom. Co ja mówię – klientom, przysługującego choćby normalnym ludziom!

– Środki bezpieczeństwa są po prostu niezbędne... Panie Horst. Sam pan je akceptował, a nawet rozszerzył katalog, przybierając ten dziwny i zupełnie niepotrzebny pseudonim. – Stojący naprzeciw niego elegancko ubrany mężczyzna w typie dyplomaty uśmiechnął się rozbijając, pokazując przy tym imponujący garnitur prostych, śnieżnobiałych zębów. – Dobrze pan wie, że każdy policjant, łaps, stójkowy albo zwykły kablujący śmieć, jakich pełno we wszystkich zawszonych dziurach na tym świecie, zrobiłby przecież wszystko... Być może nawet dałby sobie obciąć rękę i wyciąć obie nerki za odrobinę informacji na temat miejsca ataku Towarzystwa. A przecież nie chce pan stracić szansy na przygodę życia. Prawda? Poza tym przypominam, że nie płaci nam pan za komfort ani dobre samopoczucie w podróży. Nasze usługi nie obejmują ubezpieczenia od warunków transportu i guzów na głowie. W ogóle nie obejmują żadnego ze znanych rodzajów ubezpieczeń. To, co oferujemy, to usługa specjalna. Doznania nadzwyczajne, których doświadczyć może tylko wąska grupa ludzi na Ziemi, dysponująca odpowiednią motywacją, i co ważniejsze – wystarczająco wysokim stanem zawartości portfela. Za to nam pan płaci, panie Horst, właśnie za to... I tylko za to.

– Mam nadzieję, Sol. – Przyzwyczajony do traktowania ludzi z góry van Culgenar puknął palcem wskazującym w tors mężczyzny, na krótką chwilę gasząc jego przesłodzony uśmiech. – Tylko jak na razie jedynym doznaniem, jakie mam, jest takie dziwne przecucie, że kupiłem kota w worku. Kota, który na dodatek cholernie drogo kosztował. Nic nie wiem na pewno. Niby macie te swoje referencje. Niby ściga was policja całego świata za akty terroru i kradzież energii na astronomiczną skalę. Niby nikt nic nie wie,



ale jak dla mnie to i tak gówno z tego wynika. W dalszym ciągu nie mam żadnej gwarancji, że wasze opowieści nie są wyssaną z palca bajeczką dla bogaczy mającą na celu wycykanie frajera z kasy i tyle. Do teraz jakoś trudno mi uwierzyć w to, że ktoś potrafi przechwycić kawałek realnej rzeczywistości i urabiać go jak glinę dla własnych potrzeb. Nawet w dzisiejszych, dość nowoczesnych czasach, w których technika pędzi naprzód jak szalona, brzmi to przecież dość absurdalnie, prawie niedorzecznie. Nie sądzisz?

– Są na tym świecie rzeczy, o których nie śniło się nawet filozofom. – Dawny uśmiech powrócił na twarz Sola. – Wszystko to, co pan powiedział, to oczywiście najczystsza prawda, jednak z jednym wyjątkiem. Nie urabiamy rzeczywistości dla własnych potrzeb, tylko dla potrzeb naszych szanownych klientów. Na dodatek w tym, co robimy, jesteśmy nie tylko wyjątkowi, jedyni, niepowtarzalni i perfekcyjni, ale także dość staroświeccy. Hołdujemy starym, sprawdzonym zasadom, a naszym mottem przewodnim jest jakże często nadużywane w dzisiejszych czasach hasło: „Klient nasz pan”. Zresztą już za chwilę sam się pan o tym przekona.

Masywne metalowe drzwi dzielące pomieszczenie na pół rozsunęły się z cichym świstem, wypuszczając ich z części garażowej do wnętrza dużej, jasno oświetlonej hali zasadniczej. Sądząc z rozgardiaszu, jaki tam panował, właśnie trwały ostatnie, bardzo intensywne przygotowania do uruchomienia stosu aparatury sięgającej prawie sufitu.

– Witamy w tymczasowej siedzibie Towarzystwa Złodziei Historii! – Głos Sola zabrzmiał wyjątkowo dumnie i dostojnie. Devonser van Culgenar rozejrzał się uważnie, nie dzieląc entuzjazmu swego przewodnika. Wyposażenie pomieszczenia wyraźnie go rozczarowało. Warknął tylko coś cicho pod nosem, krzywiąc usta, a jego krytyczny wzrok spoczął na stojącej w samym środku hali instalacji. Nie tak to sobie wyobrażał. Spodziewał się porażającego błysku nowoczesności w sterylnych wnętrzach pachnących czystością. Tymczasem to, co zobaczył, przypominało bardziej chaotycznie ustawioną piramidę złomowanych urządzeń starego typu, połączonych bezładną płataniną kabli niż poważną aparaturę techniczną podtrzymującą życie. Jedynym elementem wyraźnie odbiegającym od reszty na plus była stojąca trochę z boku, lśniąca nowością, cylindryczna kapsuła, która – jak słusznie przypuszczał – przez najbliższy czas miała zastąpić mu nie tylko dom, ale także cały znany wszechświat.

– Czy to jest ta słynna maszyna, o której tyle się nasłuchałem, zanim zdeponowałem moje ciężko zdobyte obligacje we wskazanym przez was miejscu? – zapytał złośliwie, z premedytacją siląc się na sarkazm.

– Oczywiście, że nie! Chyba nie sądził pan, że korzystamy ze starych rżechów? Nie za dziesięć miliardów. To, co pan tu widzi, to tylko atrapa. Mistyfikacja. Teatr mający na celu zmylenie ścigających nas bez opamiętania organów śledczych całego świata. Maszyna, o której pan mówi, jest tu. – Sol podszedł do kapsuły. Sięgnął w głąb małego pojemnika w kształcie walca umieszczonego przy panelu sterowania. Wyciągnął coś ze środka i z zaciśniętą ręką odwrócił się do swego klienta. Gdy po chwili otworzył dłoń, leżała na niej tylko mała, zielona kulka przypominająca wyglądem ziarenko grochu.

– No i co? – zapytał zdezorientowany van Culgenar.

– Nic. To jest to! Niepozorne, prawda? – Sol, z uduchowioną miną i groźnym błyskiem w oczach, sprawiał teraz wrażenie fanatyka religijnego, który właśnie spotkał się

twarzą w twarz ze swym bogiem. – „Pochłaniacz Światów” – powiedział, akcentując słowa z wyraźnym uwielbieniem w głosie. – Urządzenie o nieskończonych możliwościach, uzależnionych jedynie od ilości dostępnej energii i inwencji obsługujących go programistów. Swoiste perpetuum mobile pobierające energię wprost z otoczenia. Mam nadzieję, że nie ma pan rozrusznika?

– Nie! Na miłość boską! – Devonser ścisnął mocno ramię mężczyzny, przez chwilę patrząc mu prosto w oczy. – Mam nadzieję, że nie będzie żadnych ofiar?

– Nie wiedziałem, że to pana obchodzi.

– Nie obchodzi, ale w *tym* świecie nie chcę mieć teraz żadnych długów. Rozumiesz, Sol!?

– Jasne. Tylko żartowałem z tym rozrusznikiem. – Na twarzy przewodnika pojawił się grymas triumfu. – Nasze urządzenie jest jak żywe, ma swoją inteligencję. Lokalizuje i wysysa tylko poważne źródła energii. Nie rusza akumulatorów, baterii i tego typu małych bzdurow. Nie będzie żadnych ofiar, co najwyżej ucierpi trochę gospodarka Wschodniej Europy, a kilka elektrowni z okolicy będzie miało jutro cholerne problemy z rozruchem. Niezłe, prawda? Proszę sobie wyobrazić, co takie urządzenie mogłoby zdziałać, gdyby je umieścić w pobliżu Słońca. Cała galaktyka poszłaby z dymem jak nic. Dlatego nazywamy je „Pochłaniaczem Światów”.

– Ale skąd wy...? – zapytał zdziwiony Devonser, który jakoś nie znalazł powodów, by nie wierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

– To dar... Od naszych przyjaciół. Nie jest pochodzenia ziemskiego. Życzę miłego polowania, panie Horst.

Wyraz zdumienia nie opuścił twarzy miliardera nawet wtedy, gdy leżąc już wygodnie w kapsule, powoli tracił kontakt z rzeczywistością, pograżając się coraz bardziej w chemicznym śnie wywołanym odpowiednią mieszaniną bezwonnych i bezbarwnych substancji, wypełniających całą zamkniętą przestrzeń nad jego głową.

## 2.

Błysk, obrazy, a potem ciemność. Gwałtowny wstrząs wywołany wizją zamroczył go na moment, odrzucając do tyłu jak po mocnym uderzeniu pięścią. Gdy minął pierwszy szok, zrobił krok w przód i ponownie spojrzął w lustro, co pozwoliło mu powrócić do stanu jako takiej równowagi, umożliwiającej przynajmniej zapanowanie nad niekontrolowanymi ruchami mięśni. Tym razem to, co tam zobaczył, to na pewno była jego twarz. Zdecydowanie! Taka, jaką pamiętał i jedyna, jaką akceptował jego skołatany umysł. Dojrzała, ostra, budząca respekt twarz dowódcy. Nie było już tego drugiego – wymuskanego gogusia o łagodnych rysach i zimnym, zwierzęcym spojrzeniu drapieźnika. Wspomnienie którego za każdym razem przyprowadzało go o dreszcze. Nie było też tego wielkiego. Zaciętego. Z ciałem herosa i uduchowioną miną bohatera ludu, jakby żywcem ściągniętą z plakatów Ministerstwa Propagandy. SS-Obersturmführer Georg Humple – doświadczony żołnierz, weteran bitwy o Charków, dowódca trzeciej kompanii czwartego plutonu grenadierów pancernych, jeszcze do niedawna wchodzącego w skład Korpsgruppe von dem Bach, teraz oczekującego na uzupełnienie i kolejny przydział frontowy – wzdrygnął się lekko, po czym drżącą ręką odłożył na bok maszynkę do golenia, starając się

usilnie, by wypadło to jak najbardziej naturalnie. Walcząc ostatkiem sił woli z odruchem pośpiechu, powoli, bardzo powoli sięgnął po przydziałowy ręcznik w kolorze feldgrau, przykładając go całą powierzchnią do twarzy. Dopiero teraz, udając ścieranie resztek piany, mógł odwrócić się od umywalki i zupełnie otwarcie rozejrzeć po baraku, sprawdzając, czy przypadkiem któryś z jego ludzi zajętych przygotowaniami do wyjazdu nie był świadkiem tej chwili słabości. Chwili, która niestety ostatnio przydarzała mu się coraz częściej i którą coraz trudniej przychodziło mu ukrywać. Choroba psychiczna i SS? Nie, te dwie rzeczy zdecydowanie nie dawały się ze sobą pogodzić. Szczególnie u kogoś, kto nie miał pleców w dowództwie i wszystko zawdzięczał samemu sobie, tak jak on.

Wstępna lustracja otoczenia wypadła raczej pomyślnie. Na twarz porucznika zaczął wracać charakterystyczny wyraz nonszalancji, który niestety zgasł szybko na widok stojącego nieopodal sierżanta. Georg Humple westchnął, opuszczając ramiona w geście rezygnacji. Cholerny, pierdolony sierżant Johan Schultze, prawdziwa podpora każdego dowódcy frontowego. Ucieleśnienie wszystkich cnót żołnierskich. Oprócz setek zalet o charakterze czysto wojskowym miał też i taką, która zdecydowanie wyróżniała go spośród innych żołnierzy. Był wścibski – niesamowicie, aż do przesady. Zawsze musiał wiedzieć wszystko o wszystkich i mało rzeczy umykało jego uwadze. Zasadniczo pomagało to utrzymać porządek w oddziale, ale czasami... Georg doskonale zdawał sobie sprawę, że fakt, iż stał on teraz odwrócony do niego tyłem, udając zainteresowanie wiszącym na ścianie zdjęciem, nie oznaczał wcale, że nie był świadkiem tego, co przed chwilą wydarzyło się za jego plecami. Raczej było zupełnie odwrotnie.

Paradoksalnie świadomość dzielenia tajemnicy z kimś trzecim podziałała na niego kojąco. Uspokojony odłożył ręcznik, poprawił mundur i przybierając służbową minę, podszedł do sierżanta.

– Dosyć tego barłozenia, Schultze, zbieraj ludzi i wypad na dwór. Ciężarówki już pewnie czekają? – warknął rozkazującym tonem.

– Panie poruczniku, musimy iść na tę akcję?

Idiotyczne pytanie zadane przez rzeczowego sierżanta ponownie wytrąciło go z równowagi. Zaskoczony, w pierwszej chwili chciał go ostro zrugać, jednak odpuścił, gdy zrozumiał, że ten jawny przejaw niesubordynacji był tak naprawdę próbą wyjścia z twarzą z niezręcznej sytuacji, i to próbą dość udaną.

– Wykonać! – odpowiedział niezbyt stanowczo, a zaraz dodał jeszcze łagodniej: – Jak dla mnie, to ci idioci z Technische Nothilfe mogą ginąć i tysiącami. Na froncie nie ma z nich żadnego pożytku, ale stary się uparł. Odbiło mu z nudów i postanowił urządzić sobie polowanie. Jak jakiś, kurwa, Marszałek Rzeszy w swoich lasach na wschodzie.

– A policja...? Przecież to zadanie dla ludzi Geibela, my im nie podlegamy.

– No właśnie, w tym sęk. Policja już próbowała złapać snajpera, ale mieli z tym jakieś problemy. Podobno nawet nieźle oberwali. Podczas ostatniej kolacji doszło do zakładu i oczywiście nasz kochany, honorowy major Fritz Lang dał się podpuścić. Wiesz, jaki jest, szczególnie jak wypije? I teraz co? Zamiast odpoczywać w spokoju przed wyjazdem do Rzeszy, zostaliśmy zredukowani do roli cholernej nagonki jak jakieś wiejskie głupki... Bez urazy, Schultze. Przy czym stary na odprawie wymyślił to tak. – W tym momencie Georg udanie sparodiował minę majora i naśladowując górnolotny ton jego wypowiedzi, zaczął mówić: – „Nasz cel operuje w tym oto kwadracie ulic”. – Ręką wskazywał na

nieistniejącą mapę, udając, że stuka w nią palcem. – „Postępujemy zgodnie z klasycznymi regułami polowania. Jest zwierzyna, nagonka i są myśliwi. Kompanie A, B i C dowodzone przez oficerów Joschkego, Fiserbachera i Humplego stanowią nagonkę. Ich zadaniem jest wypłoszyć zwierzynę, zacieśniając pierścień okrążenia od północy, zachodu i południa, w ten sposób, aby skierować ją prosto na linię rzeki, gdzie czekamy my, czyli myśliwi. Naszym zadaniem jest pokierować akcją tak, aby zwierzyna wyszła z lasu prosto na cel”. Czy teraz wszystko jasne, Schultze? – zakończył znowu stanowczo. – Jeśli tak, to zabieraj swoją chłopsko-nagonkową dupę i ładuj mi kompanię na wozy. Nikt nie będzie na nas, kurwa, czekał. A na pewno nie jaśnie panowie myśliwi.

Sierżantowi nie trzeba było więcej powtarzać. Po chwili wszyscy wybiegli na dwór. Na placu przed barakami roilo się już od żołnierzy z pozostałych kompanii, pakujących sprzęt i swoje własne tyłki na ciężarówkę. Podoficerowie wrzeszczeli na nielicznych maruderów, a oficerowie meldowali dowódcy gotowość do wyjazdu. Schultze jako ostatni zajął miejsce w wozie pancernym, tuż obok porucznika. Obaj cierpliwie czekali na odjazd kolumny.

Na dany przez majora Langa znak kawalkada pojazdów złożona z ciężarówek i wozów opancerzonych ruszyła wolno w stronę widniejących w oddali ruin wielkiego miasta. Przed dojazdem do śródmieścia (lub raczej tego, co aktualnie z niego zostało) sznur wozów rozdzielił się na cztery mniejsze nitki, z których każda podążyła w innym kierunku.

Dopiero gdy zostali sami, porucznik Georg Humple odchylił górny właz i wyjrzał z ciekawością ze swego Sd-251. Od momentu przybycia na miejsce zgrupowania jakieś dwa tygodnie wcześniej był to jego pierwszy wyjazd na akcję. Niestety widok bardzo go rozczarował. Zniszczone wojną miasta wszędzie wyglądają tak samo, pomyślał. Dookoła, jak okiem sięgnąć, otaczały go tylko zwały gruzów. Monotonny i szary krajobraz złożony ze szerniałych od ognia kikutów ścian wypalonych do cna, a niegdyś wspaniałych i wielkich kamienic. Po chwili bezowocnych poszukiwań wreszcie trafił na coś interesującego. Na jednym z lepiej zachowanych fragmentów muru zobaczył coś, co przykuło jego uwagę. Wyrysowany białą farbą dziwny, koślawy znak w kształcie dużej litery P, której nóżka rozdwajała się na końcu, tworząc w ten sposób graficzny symbol kotwicy. Obraz, który nic mu nie mówił, ktoś próbował bez rezultatu zamazać potem czerwoną farbą. Ten sam ktoś, niżej, wyraźnymi, dużym literami dopisał już bardziej zrozumiałą treść: „WILKOMMEN FESTUNG WARSCHAU”. Gdzieś wysoko w powietrzu zaskrzeczała wrona. Georg odwrócił na chwilę głowę. Gdy spojrzął ponownie na ścianę, napisu już nie było. Pozostała tylko biała kotwica. Zdenerwowany potarł gwałtownie oczy i napis znowu wrócił na swoje miejsce. Cholerne zwidy, pomyślał, schodząc na dół i zamykając klapę wozu.

Od godziny posuwali się tyralierą w kierunku wschodnim, wykonując zmuśnioną robotę polegającą na sukcesywnym przeszukiwaniu miejsca po miejscu, a w zasadzie rumowiska po rumowisku. Porucznik Humple porozstawiał swoich ludzi trójkami tak, aby mogli asekurować się nawzajem i nawoływać przy każdej przecznicy. Doświadczenie wyniesione z walk na ulicach Charkowa nauczyło go dwóch rzeczy: po pierwsze – zawsze utrzymywać kontakt wzrokowy z sąsiednią trójką, a po drugie – nigdy, pod żadnym

pozorem nie wchodzić do budynków. Do tego, by wypłoszyć siedzących tam ludzi, w zupełności wystarczyły granaty i seria z karabinu. W ostateczności salwa miotaczem płomieni. Hałas, dym i szalejący wszędzie ogień robiły swoje. Jak do tej pory była to najbardziej niezawodna metoda pacyfikacji, jaką znał, a stosował ich naprawdę wiele. Czujnie rozejrzał się na boki. Wszystko szło zgodnie z planem. Jego żołnierze wykonywali swoje obowiązki szybko i sprawnie. Co jakiś czas, z oddali, do uszu porucznika dochodziły miarowe odgłosy wybuchów, świadczące o tym, że pozostałe oddziały także nie próżnowały i pierścień oblawy powoli się zacieśnia. Coś za łatwo idzie, pomyślał w przypływie wisielczego humoru i w tym samym momencie przystanął, uświadomiwszy sobie intuicyjnie drobną zmianę w otoczeniu. Jakiś szczegół, niezauważalny dla innych, który jemu jednak wydał się na tyle ważny, że zatrzymał go w miejscu. Wyczulony na tego typu sytuacje, zaciśniętą pięścią dał znać żołnierzom, żeby wstrzymali pochód, po czym uklęknął na jedno kolano i z przygotowaną do ataku bronią zastygł w pozie wyczekiwania. Dopiero po pewnym czasie uświadomił sobie, że tym, co zakłóciło jego spokój, był brak jakichkolwiek odgłosów dobiegających z kierunku działania kompanii Fiserbachera. Panowała tam teraz cisza. Cisza nienaturalna, po której należało spodziewać się wszystkiego najgorszego – a przynajmniej jakiegoś gwałtownego zwrotu sytuacji. Podobnie jak w wielu innych przypadkach, tak i tym razem przeczucie go nie zawiodło. Po krótkiej chwili do uszu wszystkich doszły już wyraźne odgłosy wybuchów i strzelaniny świadczące o toczącej się niedaleko małej, ale dość gwałtownej w przebiegu potyczce, która jednak bardzo szybko się skończyła. Zbyt szybko.

– Schultze, do mnie! – rzucił krótką komendę w kierunku kłęczącego po drugiej stronie ulicy sierżanta.

– Co o tym sądzisz? – zapytał, gdy ten przyklęknął obok.

– Dziwne? Poważne starcie. Pierwsza kompania musiała natknąć się na duży i dobrze uzbrojony oddział. Rozpoznanie nic nie mówiło o jakichś grupach operujących w tej okolicy.

– Tyle to i ja zdołałem zauważyć. Ty mi powiedz, kto, kurwa, wygrał? – warknął zirytowany porucznik.

Schultze milczał przez chwilę, wsłuchany w zalegającą ciszę.

– Gdyby wygrali nasi, właśnie kończyliby sprawę, dobijając wszystko, co się rusza. Już słyszelibyśmy strzały, no i... Radio milczy – powiedział wreszcie, cedząc wyraźnie słowa. – I jeszcze coś. Walka trwała zbyt krótko. Wykorzystano element zaskoczenia. To była pułapka! – dodał po chwili z pewnością w głosie.

Humple zaklął pod nosem. Przez krótką chwilę trawił w myślach to, co usłyszał, po czym podjął decyzję, wyrzucając z siebie kilka krótkich komend.

– Utworzyć kolumnę!

– Wozy pancerne naprzód!

– Przemieszczamy się w kierunku ostatniej pozycji Fiserbachera!

– Nawiązać kontakt ze sztabem!

– Wykonać! – zakończył.

Po obraniu nowej marszruty posuwali się jeszcze wolniej niż poprzednio. Cały czas w szyku bojowym, zachowując nakazaną przez dowództwo ciszę w eterze. Niemy przewodnik



w postaci gęstniejącego z minuty na minutę czarnego dymu, snującego się nad płonącymi zgłiszczami, wskazywał na sukcesywne zbliżanie się w rejon potyczki. Wszyscy zwiększyli czujność w momencie, gdy na drodze pojawiły się pierwsze plamy rozmazanej krwi.

– Tu się zaczęło – rzucił krótko Schultze, kończąc oglądać kolejny zakrwawiony kawał betonu. – Tu wpadli pod ostrzał snajpera i dali się wciągnąć w pułapkę.

– Trzymać broń w pogotowiu. Idziemy dalej – zarządził Humple, patrząc na swojego sierżanta.

Za kolejnym zakretem krajobraz się zmienił. Wyszli spośród ruin wprost na jasno oświetlony przez słońce, duży plac. Kiedyś – mały park, a dziś – pustą, zawałoną kupami gruzu przestrzeń owiewaną podmuchami zimnego, jesiennego wiatru. Plac ze wszystkich stron otoczony był wysokimi kamienicami, które jak na standardy obecnej Warszawy zachowane były w wyjątkowo dobrym stanie. Zupełnie tak, jakby chłopaki z TN specjalnie zostawili je sobie na deser.

Warkot wjeżdżających na otwartą przestrzeń pojazdów, zwielokrotniony przez efekt studni, spowodował wzbicie się w niebo chmury wron zajmującej wzniesienie na końcu placu. Kołujące w górze ptaki przesłoniły na chwilę słońce, rzucając złowróżbny cień na całą okolicę. Mimo wyraźnego rozkazu kolumna zatrzymała się w miejscu. Żołnierze przygarbili się nieco, spoglądając to w przód, to znowu na siebie z mieszaniną niedowierzania i strachu w oczach. Widok odsłonięty przez ptaki był przerażający. To, co początkowo brali za wzgórze, okazało się sięgającym pierwszego piętra stosem trupów wtłoczonych pomiędzy dwa doszczętnie rozbite wraki wozów pancernych. Zmasakrowane ciała zbito w jedną masę, tak jakby ktoś ścisnął wszystko przy użyciu gigantycznej prasy. Ledwie można było rozpoznać, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie; gdzie głowa, gdzie ręce, a gdzie nogi i tułów. Stożkowaty stos z ludzkiego mięsa i szmat poprzecinany był strużkami zakrzepłej krwi, nadającymi mu wygląd wulkanu tuż po erupcji. Żołnierze byli zdezorientowani. Nie wiedzieli, co o tym myśleć. Widzieli już wiele okropieństw, ale z czymś takim zetknęli się po raz pierwszy. Przy czym najgorszym nie był wcale widok zmasakrowanych ciał kolegów. Najgorszą była świadomość, iż całość tej makabrycznej konstrukcji tworzyła, niestety, wcale praktyczny wał ochronny dla znajdującego się za nim budynku.

– Co to, kurwa, jest? Jak oni to...? – szepnął ktoś z boku, lecz zaraz urwał, skarcony zimnym wzrokiem sierżanta. Schultze gestem nakazał rozproszenie oddziału i zachowanie czujności. Żołnierze przykucnęli z bronią gotową do strzału, kryjąc się za wozami i kawałkami gruzu. Wzrok każdego z nich, podobnie jak lufy karabinów, skierowany był teraz w górę, w kierunku ciemnych otworów okiennych, które nagle stały się dla wszystkich mrocznym symbolem niepewności i śmierci. Gdy wiejący dość silnie wiatr uspokoił się nieco, w powietrzu zapanowała złowroga cisza, zakłócana jedynie przez złowróżbne skrzeczenie kołujących nad nimi wron.

O tym, że coś zaczęło się dziać, świadczyło dziwne zachowanie ludzi, którzy nagle bez żadnego powodu zaczęli padać na ziemię jak ścięci.

– Snaajpeeer! Ognia! – krzyknął głośno Schultze, wskazując palcem jedno z okien.

Żołnierze zaczęli strzelać bez opamiętania, w krótkim czasie zasypując znienawidzony, ciemny otwór gradem pocisków. Po takim ostrzale każdy przeciwnik powinien leżeć podziurawiony jak sito, jednak w tym przypadku reguła nie zadziałała. Zamiast martwej

ciszy w odpowiedzi na salwę, kompania Humplego potraktowana została przez przeciwnika ostrzałem z moździerzy, który w sposób znaczący przetrzebił szeregi atakujących i poskromił ich zapędy.

– Was, zum Teufel? – zaklął pod nosem Schultze. Dotychczas myślał, że trafili na jakiś znaczny oddział, jednak biorąc pod uwagę kierunek pola rażenia, wnioskował, że mają do czynienia z jednym, góra dwoma ludźmi, z tym że tych dwoje dysponowało siłą ognia co najmniej całego batalionu. No i te dziwne pociski bez żadnych odłamków. Coś takiego widział po raz pierwszy.

– Ilu ich jest? – Pytanie porucznika wytrąciło go z zamyślenia.

– Tylko jeden... Lub dwóch – odpowiedział krótko.

– Dziwne.

– Dziwne, niedziwne, trzeba działać, inaczej wszystkich nas tu wytluką. Zrobimy tak: my tu zwiążemy przeciwnika ogniem, a ty, Schultze, bierz dziesięciu ludzi i zajdź ich od tyłu. Jak już będziesz na miejscu, to nie baw się w ceregiele, tylko załatw sprawę granatami. Odgłos wybuchu będzie dla nas sygnałem do ataku. Wykonać! – zakończył rozkaz Humple.

– Tak jest! – rzucił krótko sierżant i już po chwili razem z wybraną dziesiątką zaczął wycofywać się w kierunku bocznej ulicy.

Klucząc między ruinami, w ciągu dwudziestu minut dotarli do tylnej ściany budynku. Tam zwolnili tempo i bardzo ostrożnie zaczęli skradać się w stronę wejścia do środka. Obawiając się pułapek, Schultze zdecydował się na omińnięcie klatki schodowej. Kilkoma wyuczonymi ruchami rąk dał znać swoim ludziom, że wchodzić będą przez otwór widniejący w ścianie budynku na wysokości pierwszego piętra. Dla doświadczonych żołnierzy sforsowanie takiej przeszkody nie stanowiło jakiegoś specjalnego problemu. Bardzo szybko dwóch najsilniejszych ustawiło się plecami do ściany, a pozostali w pełnym pędzie wskakiwali na przeszkodę, używając rąk swoich kolegów jak trampoliny. Nie minęła nawet minuta, kiedy wszyscy znaleźli się w środku, gotowi do dalszej akcji.

Teraz przyszedł najbardziej niebezpieczny moment operacji. Z pomieszczenia, w którym się znajdowali, musieli wyjść na klatkę schodową. Sierżant Schultze jako pierwszy doszedł do otworu po drzwiach wejściowych i ostrożnie wychylił głowę, kierując wzrok na górne piętra.

Nie wiedział, co wywołało taką reakcję, jakiś nagły ruch czy ledwie dostrzegalne drżenie powietrza. Tknięty nagłym przecuciem rzucił się impulsywnie przed siebie, tylko o włos unikając zetknięcia z cienką, czerwoną strugą światła, szybko przemieszczając się w głąb pokoju mniej więcej na wysokości ludzkiej piersi. Leżąc już na ziemi, Schultze, w ostatnim rozpaczliwym podrygu, zdołał przeturlać się w bok, unikając kolejnego promienia. Odwrócony widział, jak krzyżujące się, czerwone promienie z chirurgiczną precyzją skalpela tną jego ludzi na kawałki, w ułamku sekundy nie zostawiając nikogo przy życiu. Sierżant nie zdążył nawet pomyśleć o tym, co się stało, kiedy potężna eksplozja wypełniła wszystko ogniem, a siła wybuchu rzuciła nim o sąsiednią ścianę.

– Naaaprzd! – krzyknął głośno porucznik Humple, po tym jak wybuch w budynku spowodował przerwanie ognia przeciwnika. Nie czekając na innych, jako pierwszy zerwał się na nogi, biegnąc szybko w kierunku wolnej przestrzeni między wrakiem wozu

pancernego a budynkiem po prawej stronie. Za nim poderwali się pozostali, leżący do-  
tąd w ukryciu żołnierze. Brak ostrzału ze strony przeciwnika mógł oznaczać tylko jedno  
– że dopadł go Schultze.

Nie dobiegł zbyt daleko. Gdy był na wysokości tworzących zapórę wraków wozów  
pancernych, potężny wybuch wstrząsnął kamienicą z prawej strony. Ziemia zadrżała mu  
pod nogami, a następnie silny podmuch gorącego powietrza miotnął nim na bok jak  
kupą szmat, wyrzucając na dobrych kilka metrów w górę. Wylądował na stosie trupów,  
co najwidoczniej ocaliło mu życie. Po zderzeniu z czymś ośliźłym i miękkim zdążył jesz-  
cze zarejestrować dziwny dźwięk – ni to plask, ni to chrzęst – po czym padł zemdlony.  
Pogrążony w błogiej nieświadomości nie mógł widzieć, jak chwilę po tym zdarzeniu  
olbrzymia ściana frontowa budynku wali się na ziemię, w ułamku sekundy grzebiąc pod  
gruzami wozy bojowe i większość ludzi z jego oddziału.

Ocknął się z nosem wbitym w coś twardego, co okazało się kawałkiem kości śródre-  
cza wystającej z rozszarpanego kikuta dłoni. Wodząc mętnym wzrokiem, próbował ro-  
zeznać, gdzie jest, jednak wszędzie widział jedynie zmasakrowane części ludzkich ciał  
w różnym stanie skupienia i rozkładu. Po chwili jego skołatany, budzący się mózg prócz  
obrazów przetworzył również zapachy, co natychmiast wywołało skutek w postaci tor-  
sji. Wymiotując, zgięty w pół, resztką sił odepchnął się do tyłu, próbując zaczerpnąć  
odrobinę powietrza, ale to również okazało się błędem. Gwałtowny ruch spowodował  
jedynie, że świat ponownie zawirował mu przed oczami, potęgując jeszcze bardziej od-  
ruch wymiotny. Zamroczony, mimo olbrzymiego wysiłku, jaki w to wkładał, cały czas  
nie mógł przypomnieć sobie, kim jest i co robi w tym strasznym miejscu. Przez głowę  
z prędkością myśli przelatywały mu tysiące mglistych obrazów, których nie tylko nie po-  
trafił rozpoznać, ale nawet nazwać. Wirująca z zawrotną prędkością galeria nieznan-  
nych osób, miejsc i zdarzeń, których w ogóle nie pamiętał. Obrazy te co chwilę nakładały  
się na siebie, mieszały, tworząc w jego mózgu świetlną papkę, wybuchając ostatecznie  
w gwałtownym rozbłysku blokującym zmysły. By je odzyskać, po każdym nowym wy-  
buchu światłości musiał odczekać chwilę, a następnie przez dłuższy czas na przemian  
zamykać i otwierać powieki.

Po kilku takich próbach rozbłyski wreszcie zniknęły na dobre. Od razu poczuł się  
lepiej, przybyło mu także energii. Sił starczyło na tyle, by wreszcie oderwać się od po-  
wierzchni, na której leżał, a przynajmniej podnieść odrobinę głowę do góry i rozejrzeć  
się na boki.

Z wyraźną ulgą zauważył, że widzi w miarę normalnie, choć docierające z zewnątrz  
obrazy rejestrował jakby w zwolnionym tempie. To, co zobaczył, nie napawało optymiz-  
mem. Zarówno z prawej, jak i lewej strony otaczały go sterty gruzu przykryte wolno  
opadającym w dół woalem duszącego pyłu. Złapał go atak kaszlu. Krztusząc się i stę-  
kając z wysiłku, odwrócił głowę do tyłu, lecz i tam nie zobaczył nic nowego. W całym  
krajobrazie roztaczającym się dookoła dominowały jedynie gruz i zgłiszczka, na które  
teraz spadało z góry coś na kształt złotego deszczu... Złotego deszczu? Dopiero po chwili  
zorientował się, że to, co bierze za opad, zmywający kurz osiadły nalotem na gruzach;  
to, co z perspektywy jego spowolnionej percepcji wyglądało jak spadające z nieba duże,  
deszczowe krople rozpryskujące się z pluskiem na mniejsze przy zetknięciu z twardym

podłogiem, jest tak naprawdę czymś innym, czymś o wiele groźniejszym. Przestrzeń przed nim była... Chyba... Ostrzeliwana? Na kawałki cegieł, dużych fragmentów ścian, ludzkich kończyn, zwalonych kominów, luźno leżących kabli, części zbrojenia, ram okiennych, mebli, garnków i wszystkiego, co teraz przed nim leżało, spadały dosłownie tysiące pocisków. Na dodatek ten ostrzał śmierci, miarowo i sukcesywnie „przeszukający” miejsce po miejscu w morderczym zamiarze wyrugowania z okolicy wszelkich oznak życia, coraz bardziej zbliżał się w jego stronę.

Impuls był prawie natychmiastowy. Odwrócił się, pragnąc uciekać, lecz w tym samym momencie zamarł ponownie, tym razem z przerażenia. Dokładnie naprzeciw, nad czubkiem własnego nosa, zobaczył wpatrzone w niego okrągłe, otwarte oczy. Były jak zwid, jak coś nierealnego. W pierwszej chwili potrafił rozróżnić jedynie wielkie, stalowe i wyraźnie żywe źrenice bez umiejscowienia i oparcia w twarzy lub innej części ciała. Wtłoczony w sprasowaną materię zakrwawionego mięsa, upiorny, samoistny byt, wyciągnięty żywcem z obrazów przedwojennych surrealistów. Dopiero po chwili, gdy ochłonął i przyjrzał się bardziej uważnie, w zbitej masie ciała i tkanki zdołał rozpoznać zarys zniekształconej twarzy z wyraźnym obrysem ust i nosa, co nadało wpatrzonym w niego oczom trochę bardziej ludzki charakter, nie pomniejszając w żadnym stopniu nierealności sytuacji. Głowa – bo była to głowa – wyraźnie żyła. Usta poruszały się rozchylając i zamykając zupełnie tak, jakby coś do niego mówiły. Zbliżył do nich ucho, próbując zrozumieć delikatny szept.

– Devonser... Devonser... – Odsunął się. To słowo coś mu mówiło. Brzmiało tak oczywiście i swojsko jak nazwa rodzinnej wsi lub imię ojca. Drażniło, poruszało w jego umyśle strunę odpowiedzialną za wspomnienia. Co to mogło być? Imię?

– Devonser... van Culgenar... – Kolejne, wyszeptane cicho słowa ostatecznie przełamały skruszoną barierę niepamięci. Kurwa! Tak! Devonser... To... To przecież ja, moje imię! Ale co? Cholera... Sol... Kapsuła. Obrazy ustawiły się na właściwych miejscach. Ale... to nie tak! Euforia wywołana powrotem wspomnień zgasła tak szybko, jak się pojawiła. Wraz z powrotem pamięci wrócił strach towarzyszący wejściu do kapsuły. Przecież to nie tak, to ja miałem... Kolejne przywołane obrazy nie pasowały do układanki. Jakieś obce wspomnienia z okopów. Śmierć, strach, okaleczone ciała leżące na mokrej ziemi. Przestał myśleć, łapiąc się z bólu za głowę i w tym samym momencie kolejna salwa dosięgła podstawy stosu ciał, na których leżał. Krew wytłoczona z tkanki gwałtowną siłą pocisku obryzgała mu buty i nogawki spodni. Ten widok ponownie go otrzeźwił. Teraz musiał uciekać, walczyć o życie. Odruch był silniejszy od myśli. Szybko odwrócił się, brnąc w jedynym bezpiecznym kierunku, jaki znał – na górę stosu. Ślizgając się po miękkich, mokrych od krwi i błota kawałkach zwłok, całą siłą woli starał się nie myśleć ani o świsających wokół kulach, ani o wszechobecnym, zatykającym drogi oddechowemu zapachu śmierci, skupiwszy się jedynie na celu, jakim był widniejący przed nim szczyt. Po chwili mozolnej wspinaczki wreszcie dotarł na miejsce. Momentalnie przerzucił nogi na drugą stronę i szybko ześliznął się na ziemię, a następnie nie zwalniając tempa dopadł do ściany przed nim i w pełnym pędzie wskoczył do wielkiej dziury, którą zobaczył nagle przed sobą niczym zbawienie.

Gdy znalazł się wewnątrz budynku, przez moment poczuł się bezpieczny. Odwrócił się by popatrzeć na doskonale widoczny przez otwór, rozrywany na strzępy pociskami

stos ciał, wstrząsany teraz dodatkowo konwulsjami wybuchów. Widok był nierzeczywisty. Już go nie przerażał – wręcz przeciwnie, uspokoił, pozwalając skupić myśli. Wydawało się, że w budynku nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc. Tylko ci, co strzelali, ale na ich pomoc raczej nie mógł liczyć. Musiał radzić sobie sam. Powinien opuścić kamienicę i poszukać jakiegoś bezpieczniejszego miejsca. Niestety, na korytarzu czekał go wielki zawód. Jedyne wyjście na drugą stronę było całkowicie zasypane gruzem. Zdał sobie sprawę, że tą drogą raczej nie zdoła wydostać się na zewnątrz, że będzie musiał iść w górę, na wyższe piętra. Przez chwilę stał w miejscu, rozmyślając o czekającej go wędrówce, gdy jakaś mocarna ręka złapała go od tyłu, zatykając usta. Znajomo brzmiący głos nakazał zachować ciszę. Przestraszony Devonser odwrócił się gwałtownie, lecz znieruchomiał, widząc przed sobą sino-białą, pokrytą w całości pyłem z tynku twarz jakiegoś żołnierza. Przez moment wydawało mu się, że to kolejny martwy, jednak po chwili zaczął myśleć bardziej rozsądnie. Pamiętał tę twarz. To Schultze, jego sierżant, a w zasadzie podwładny porucznika SS, którym był jeszcze przed chwilą i którego ciała jeszcze nie opuścił. Ale wróg czy przyjaciel? Tego nie wiedział, dopiero musiał się dowiedzieć. Sierżant nie sprawiał wrażenia wrogo nastawionego. Pokazywał mu coś ręką. Devonser popatrzył we wskazanym kierunku, nie od razu i nie bez trudu zauważając wąską na grubość ciała człowieka szczelinę między podłogą a ścianą mieszkania obok. To mogła być droga ucieczki? Popatrzył na Schultzego, potem na otwór i kiwnął głową, że rozumie. Tamten uśmiechnął się, a następnie pchnął go do dziury.

Gdy byli po drugiej stronie, wstali z podłogi i bez słów ruszyli w kierunku najbliższego okna. Przeszli przez otwór, zsunęli się na ziemię, po czym biegiem skierowali najkrótszą drogą na wschód, w stronę rzeki, tam gdzie czekały na nich pozostałe oddziały SS.

### 3.

Devonser van Culgenar i jednocześnie porucznik Georg Humple siedział w kącie pomieszczenia piwnicznego jednej z ocalałych kamienic, tymczasowo przerobionej na areszt polowy. Obok niego na podłodze leżał odpoczywający sierżant Schultze. Siedzieli tak już od godziny, od kiedy major Lang postanowił dać upust swojej złości i przykładnie ukarać winnych wytracenia trzech kompanii. Zgodnie z tym, co zapowiedział, po powrocie do jednostki czekał ich sąd polowy. Jednak van Culgenar nie myślał w tej chwili o tym, co będzie później. Jego myśli zaprzętało rozpamiętywanie tego, co stało się niecałe kilka godzin temu, a co teraz wydawało się jakimś koszmarnym snem. Bo ewidentnie coś było nie tak. Transfer się udał. To było to miejsce, w którym chciał się znaleźć. Warszawa, jesień 1944 roku. Zaraz po upadku powstania. Tylko że pozostałe rzeczy już się nie zgadzały. Program nie przewidywał, że będzie cholernym, niemieckim żołnierzem. Wręcz przeciwnie, to on chciał polować na nazistów, to on miał dysponować super bronią i zabić majora Langa. Przecież ten gnój podczas wojny wymordował połowę jego rodziny. To miała być taka mała zemsta, a teraz wszystko się pomieszało. Co robić? Co robić, myślał intensywnie.

– Pana umysł jest doprawdy fascynujący.

– Czego chcesz, Schultze? – warknął, usilnie starając się ukryć swój holenderski akcent.

– Mówimy tylko, że pana umysł jest fascynujący, panie von Culgenar, a może Horst, jak pan woli.

– Sol?! – Devonser zerwał się jak oparzony z podłogi, patrząc uważnie w okrągłe oczy sierżanta. – Sol, to ty?

– Nie! To nie jest Sol. Ale jeśli woli pan rozmawiać z Solem, możemy sprawić, żeby tu był.

– Gównu mnie obchodzi, z kim rozmawiam! – warknął Devonser, łapiąc w złości sierżanta za kurtkę i mocno nim potrząsając. – Gadaj zaraz, co tu się dzieje, bo nie ręczę za siebie!

– Proszę zostawić biednego sierżanta w spokoju, jeszcze się panu przyda.

Devonser popatrzył uważnie na mówiącego Schultzego. Jego oczy były zupełnie pozabawione wyrazu. Szklane paciorki. Tępe i nieobecne, jak u lalki.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – stęknął, zrezygnowany łapiąc się za głowę.

– Najbardziej ogólnie rzecz ujmując, mamy drobną awarię – powiedział ktoś głosem sierżanta. – Proszę sobie usiąść i posłuchać, co mamy do powiedzenia. Jest trochę czasu, spokojnie uda nam się wszystko wyjaśnić.

Otępiały Devonser po raz kolejny zajął miejsce w kącie piwnicy, bez entuzjazmu wpatrując się w siedzącą przed nim postać.

– Pamięta pan ten moment, kiedy wszedł pan do kapsuły?

– Doskonale. Czemu miałbym nie pamiętać? To było raptem kilka godzin temu. Nigdy w życiu nie byłem tak przerażony.

– No właśnie. Stres, który pan przeżył w tym momencie, ujawnił niestety pewną skazę w pana psychice. Skazę, której nie dało się w żaden sposób wykryć podczas wcześniejszych badań. Chodzi o endogenną skłonność do zachowań psychotycznych.

– Co?

– Zwykłą schizofrenię, a raczej skłonność do schizofrenii.

– Ale ja... Nigdy nie miałem problemów z osobowością – powiedział cicho Devonser.

– Nie miał pan, ponieważ nigdy nie był pan postawiony w takiej sytuacji jak wtedy, ale mógł pan mieć. Jak zwykle w takich przypadkach decyduje cały ciąg niezależnych od siebie przyczyn. Rozpoczęcie programu zadziało jak katalizator; dynamiczna relacja adaptacyjna, czyli stres, ujawniła wadę, a chemiczne spowolnienie mechanizmów obronnych mózgu było tylko ostatnim klockiem układanki. W momencie, w którym pan zasnął, umysł rozpadł się na dwoje jak niepasujące do siebie części, a nasz „Pochłaniacz Światów” – co za dziwna, nietrafiona nazwa – zadziałał w najbardziej prawidłowy sposób i zrobił coś bardzo nieprzewidywalnego, ale i rozsądnego. Przypisał panu dwie postacie w grze. Po jednej dla każdej osobowości. I tak stał się pan herosem bez imienia polującym na brzydkich nazistów i zarazem niemieckim porucznikiem Georgiem Humple z oddziału SS szukającym herosa. Zdziwiający – teoretycznie ta sama osoba po dwóch stronach barykady. Sytuacja prawie paradoksalna.

– Ja już nie chcę. Chcę wracać do domu, słyszysz! – Po tym co usłyszał, Devonser poczuł się zdruzgotany.

– Gdzie pana duch myśliwego... Panie van Culgenar. Nie można się tak rozklejać. Chciał pan przygody i jest przygoda. I to jaka! Rozczulanie się nad sobą w tej sytuacji nic

nie pomoże. Jak już zostało powiedziane, mamy drobną awarię, a to oznacza, że powrót do punktu wyjścia jest na razie... Raczej niemożliwy.

– Raczej?

– No tak. Raczej. Musi pan wiedzieć, że rozszczep osobowości był tylko początkiem awarii, potem już zadziałał efekt domina, motyla albo entropii, jak kto woli. Program zakładał, że będzie pan przebywać w swoim wysnionym świecie aż do momentu, gdy zgładzi majora Langa, mamy rację?

– Tak było.

– Program zakładał również, że jest tylko jeden, pozytywny, główny bohater, który dysponuje nieskończoną liczbą żyć, jak w grach dla dzieci, czyż nie tak? – Tym razem nie było odpowiedzi. – No właśnie, tyle że „Pochłaniacz” – co za dziwna nazwa – nagle stworzył dwóch głównych bohaterów, i dlatego zmuszony był samoczynnie zmodyfikować program. I tu mamy problem. Nie kontrolujemy już gry. Nie w całym zakresie. Nie wiemy, jakim uległa deformacjom. Dość powiedzieć, że już... Wiele razy zabijał pan – to znaczy heros, bohater pozytywny wiele razy zabijał już majora Langa – i... Nic, za każdym razem program wraca do punktu wyjścia. Klasyczna pętla.

– Ile razy? – Słowa ledwo przechodziły mu przez gardło.

– Dokładnie? Sto dwadzieścia trzy tysiące czterysta pięćdziesiąt osiem razy.

– Ile!? – Devonser ponownie zerwał się na nogi. Na jego twarzy widać było oznaki paniki. – Boże... Ile? Ile to jest...?

– Ziemiskich lat? O to chodzi? Około trzystu pięćdziesięciu pięciu. Tak myślimy, mniej więcej. Różnie to bywa. Czasami ginie pan po dwóch godzinach, a czasami nawet po kilku dniach. Zresztą, kto by to liczył.

– Ciebie to, kurwa, śmiesz? – van Culgenar zbliżył się do sierżanta. W jego oczach ponownie pojawiły się złe błyski.

– Po co te nerwy? Proszę się uspokoić. Zapewniamy pana, że w tym przypadku czas nie ma żadnego znaczenia. Od razu zrobiliśmy to, co konieczne. Procesy zachodzące w programie uległy przyspieszeniu. W tym świecie mogą minąć miliardy lat, gdy tymczasem na starej Ziemi tylko tydzień. Tak to teraz wygląda. Jest pan pod dobrą opieką i gdy wszystko się skończy, wróci pan dokładnie w to miejsce, z którego pan wyruszył. Dla nas to żaden problem. Zapewniam, że wróci pan dokładnie w to... samo... miejsce i w ten... sam... czas!

– Co to za bzdury? Kim ty jesteś, żeby tak mówić? – Devonser chodził w kółko po pomieszczeniu, próbując ochłoniąć i zebrać myśli.

– Jesteście? Kim jesteście?... Trzeba zadawać właściwe pytania – odpowiedział zagadkowo sierżant. – Jesteśmy świadomością zbiorową, która stworzyła „Pochłaniacz”. Eks-cytujące, prawda?

W tym momencie van Culgenar mógł jedynie stać z rozdziawionymi ustami i nic więcej.

– Po trzech pierwszych pętlach sytuacja przekroczyła możliwości Ziemi – kontynuowali niezrażeni Obcy. – Przede wszystkim energetyczne. Po każdym przejściu urządzenie musiało się zrestartować, pobierając z otoczenia coraz większe ilości energii. Sytuacja stała się tragiczna. Towarzystwo Złodziei Historii poprosiło nas o pomoc, a my musieliśmy interweniować i zabrać pana w bezpieczne miejsce. Tak to jest, gdy da się

małpie elektryczną zabawkę. Może być z tego niezła zabawa. Bez urazy, to tylko przenośnia. Wszechświat nie ma przed nami zbyt wielu tajemnic. Z naszego punktu widzenia jest to wyjątkowo nudne. Dlatego od czasu do czasu podsyłamy młodszym rasom jakąś zabawkę, licząc na sytuacje nadzwyczajne. W większości wypadków nic z tego nie wynika, ale czasami jest tak jak teraz, no i mamy swoją chwilę ekscytacji. Jeszcze nam się nie zdarzyło, żebyśmy nie rozwiązali problemu. To tylko kwestia woli, determinacji i cierpliwości. W pana przypadku przyjęliśmy metodę prób i błędów. Celem jest naturalne zakończenie programu; to jedyny sposób na to, żeby przywrócić stan sprzed jego uruchomienia, inaczej się nie da. Nasze dzieła przerastają swych twórców. Jak już ruszą, nic ich nie powstrzyma, nawet my. Nie możemy zakończyć programu ani zmienić jego głównych założeń, ale możemy go lekko modyfikować, szukając metody na wyjście z pętli. Ustaliliśmy już, że zwycięstwo herosa nie kończy gry, dlatego szukamy sposobu na zmianę wyniku potyczki.

– Ile to może jeszcze potrwać? – przerwał im Devonser.

– Jeden raz... Albo biliony razy. Zarówno z naszego, jak i pana punktu widzenia to i tak bez znaczenia. Ludzki umysł jest słaby, nie wytrzymuje takich obciążeń. Po kilku pętlach program uwzględnił tę słabość i teraz za każdym przejściem kasuje pamięć bohaterów. Dla pana to zawsze będzie tylko jeden raz, a dla nas – im więcej razy, tym lepiej. Ale wróćmy do rzeczy. Po kilku tysiącach pętli doszliśmy do wniosku, że skoro program nie kończy się po śmierci majora Langa ani po śmierci drugiego bohatera, to być może zakończy się po uśmierceniu herosa. Na razie jest to jedna z hipotez roboczych, którą musimy sprawdzić. Tyle że dotychczas stale przegrywamy z pana potrzebą asekurancja. Tak pan ustawił postać herosa, że bardzo trudno będzie go pokonać: znacząca przewaga technologiczna, niewyczerpany zapas broni, amunicji i pobieranego sprzętu, wszechstronne wykształcenie bojowe, zdolność do szybszej regeneracji, możliwość chwilowego spowolnienia czasu, odporność na ból, brak reakcji na wszelkie znane trucizny, wyjątkowa odporność psychiczna. Jednym słowem osobowość nie do złamania. Swoją drogą, gdzie tu dreszczyk emocji? Zamiast wykładać miliardy na program, trzeba było postrzelać do owiec na hali, na to samo by wyszło. Najpierw próbowaliśmy najprostszej metody. Dotrzeć do herosa, wyjaśnić mu sytuację i spowodować, żeby dał się łaskawie zastrzelić, wysadzić w powietrze albo sam strzelił sobie w głowę. Niestety na tym polu ponieśliśmy sromotną klęskę. Za każdym razem uznawał to za próbę manipulacji, na którą jest przecież uodporniony. Wreszcie zrezygnowaliśmy z prób dotarcia do herosa, koncentrując się na drugiej stronie konfliktu. Na szczęście okazało się to o wiele łatwiejsze. Osobowość Georga Humple odziedziczyła skazę. Wystarczyło trochę napięcia, kontrolowany szok wywołany okolicznościami... No i mamy kontakt. Teraz musi pan tylko zabić herosa.

W pomieszczeniu zapadła niezręczna cisza.

– Powiemy tak – kontynuowali po chwili Obcy. – Pana obecny bohater, porucznik Georg Humple, ma całkiem spore szanse na zwycięstwo w tej potyczce. To doświadczony żołnierz i dowódca, doskonały w walkach w mieście. Mając do dyspozycji sprzęt i oddanych ludzi, potrafi być naprawdę groźny. Proszę wykorzystać tę postać.

– Ale jak? – zapytał bez przekonania Devonser.



– W zasadzie nie trzeba robić nic specjalnego. W tej chwili ma pan dwie osobowości i może pan korzystać z doświadczenia obu z nich. Prawdziwa ironia. Program przypisuje rozszczępionej osobowości dwie postaci, a my, likwidując skutki tego czynu, robimy dokładnie odwrotnie. Łączymy dwie osobowości w jednym ciele. Dlatego wystarczy być sobą. To przychodzi samo, instynktownie, w odpowiednim momencie. Już to sprawdziliśmy. Nie będziemy za bardzo odkrywcy, jeśli powiemy, że nie spotykamy się w tej piwnicy po raz pierwszy. Do tej pory radził pan sobie doskonale i teraz też tak będzie. Proszę mi wierzyć, że kilka razy był pan naprawdę blisko celu.

– Ale przegrałem.

– Za każdym kolejnym razem jest pan coraz bliżej. W końcu musi pan wygrać, to wielce prawdopodobne.

– Mam też inne wyjście: mogę siedzieć i czekać na to, co się stanie.

– To nie jest żadne rozwiązanie. Już pan tak robił. Dokładnie dziewięć tysięcy osiemset pięćdziesiąt cztery razy – i za każdym razem wracamy do początku rozgrywki.

– Więc... Muszę działać?

– Tak! Dokładnie! Jeśli chce pan zakończyć program i wrócić do domu, to musi pan działać. Trafnie pan to ujął. Musi pan za wszelką cenę chronić majora Fritza Langa, a przy tym chronić siebie i w końcu zabić herosa. Nie ma pan innego wyjścia i naprawdę są na to duże szanse.

Obcy spojrzeli mu głęboko w oczy. – To wszystko, co mieliśmy do przekazania – powiedzieli. – Proszę się jeszcze raz głęboko zastanowić i... działać. Do widzenia.

#### 4.

Postać sierżanta Schultzeego ponownie ułożyła się na podłodze, wpatrując w jeden punkt na ścianie. Devonser zorientował się, że został sam i znów musi liczyć tylko na siebie. Nie myślał zbyt długo. Postanowił podjąć wyzwanie i działać.

– To nie był żaden diabeł – rzucił przed siebie, nie zważając na holenderski akcent, który jakoś na przekór akurat w tym momencie nie raczył się pojawić.

– Co? – zapytał bezprytomnie wyrwany z drzemki sierżant Schultze.

– W tym całym zdarzeniu nie było nic nadprzyrodzonego! – kontynuował dalej już jako porucznik Georg Humple. – Była myśl, taktyka, technologia, której jeszcze nie znamy, olbrzymia przewaga ognia, ale na pewno nie było tam żadnych diabelskich sztuczek. Nie było też żadnej improwizacji. Wszystko od początku do końca przemyślane, tak jakby ktoś planował atak od dawna, a potem tylko zrealizował zadanie, i to z chirurgiczną precyzją.

– Od początku nie mieliśmy żadnych szans! – pociągnął wątek zrezygnowany Schultze. – To cud, że w ogóle żyjemy, chyba że nasze przeżycie też było wcześniej... zaplanowane?

– Ty jesteś wierzący, Schultze? – Tym razem osobą drwiącą z sierżanta był Devonser van Culgenar. – Wierzysz w cuda i inne takie? Wiesz, co ja o tym myślę? Myślę, że jeszcze nie przyszedł nasz czas. Że to cholerne komuchy testują na nas swoją nową broń, dla zabawy. A skoro to są ludzie, to można ich podejść i zabić. Trzeba tylko znaleźć jakiś sposób.

- Ale jak, panie poruczniku? – W głosie sierżanta wreszcie pojawiła się nutka nadziei.
- Trzeba myśleć, Schultze, myśleć i działać. Nie pierdolić się z czerwonymi, tylko zabijać. To trzeba robić. Myśleć i działać, ale inaczej, na odwrót, żeby zaskoczyć gnoi i pokonać.
- I to jest to! – przerwał mu wyraźnie już podekscytowany Schultze.
- Co jest co? – zapytał Humple.
- Czasami siła przeciwnika może być jego słabością – rozpoczął tajemniczo sierżant.
- Słabym punktem naszego wroga wydaje się być jego niechęć lub też niezdolność do improwizowanych działań i należy to wykorzystać.
- Tak, ale jak? – zapytał Humple.
- Tak jak pan porucznik mówił. Na odwrót – odpowiedział z szelmowskim uśmiechem na twarzy Schultze. – Jak wszystko mówi, żeby atakować, to trzeba stać i czekać. Jak widzimy prostą drogę, to trzeba iść bokiem, choćby przez miny. Jak do budynku jest tylko jedno wejście, to wywalić dziurę z boku i wejść tamtędy. Takie działanie jest kluczem do tego, żeby przeżyć – zakończył już poważnie.
- Obaj przestali mówić, wsłuchani w odgłosy strzelaniny na zewnątrz.
- Zaczęło się – powiedział Humple.

Odgłosy walki docierały do nich już od godziny, wyraźnie nasilając się z każdą upływającą chwilą. Byli gotowi do wyjścia w momencie, gdy tylko usłyszeli kroki. Stukot ciężkich buciorów ucichł i drzwi piwnicy otworzyły się na oścież, skrzypiąc przy tym głośno i przeraźliwie.

– Humple! Schultze! Do majora! – rzucił ostrym tonem żołnierz, który pojawił się w drzwiach.

Nie dyskutując, szybko udali się w stronę wyjścia pod czujnym okiem strażnika. Gdy wyszli na zewnątrz, Humple zmrużył oczy, pragnąc jak najszybciej przyzwyczać je do jasnego dziennego światła. Żołnierz prowadził ich w kierunku znajdującego się niedaleko zaimprovizowanego punktu dowodzenia, przy którym stało już kilku oficerów.

– Panie majorze, przyprowadziłem więźniów! – zameldował przepisowo, gdy dotarli na miejsce.

Wszystkie pochylone do tej pory nad mapą osoby podniosły głowy, odwracając się przodem do nich.

– Będziecie mieli okazję do rehabilitacji, Humple – rozpoczął obcesowo major Lang, próbując zachować pozory hardości, chociaż w jego oczach nie było już takiej determinacji jak poprzednio. – Nasz oddział – kontynuował – został zaatakowany przez przeważające siły wroga. Już straciliśmy wszystkie wozy, sprzęt i większość ludzi. W tej sytuacji zostaliśmy zmuszeni do taktycznego odwrotu. Potrzebujemy ludzi, dlatego chwilowo przywracam was do służby. Ty i twój człowiek znacie teren i przeciwnika, więc poprowadzicie odwrót. Jednak nie myśl sobie, że wymigasz się od sądu. Jeżeli się spiszesz, potraktuję to jako okoliczność łagodzącą.

Georg popatrzył na niego bez słów i bez entuzjazmu

– A teraz do rzeczy, panowie, trzeba opracować plan odwrotu. – Tu major zwrócił się ponownie do wszystkich oficerów, zapraszając ich gestem do pochylenia się nad mapą.

– Przeciwnik atakuje z kierunku północno-zachodniego. Ma przewagę w ludziach i uzbrojeniu – rozpoczął, pokazując odpowiednią pozycję na mapie, sierżant sztabowy Knach, przyboczny majora, (albo „przydupas”, jak nazywali go po cichu inni). – W tej chwili resztki naszych sił okopały się w tym rejonie, związując przeciwnika ogniem. Brak nam łączności ze sztabem, a amunicji starczy ledwie na kilka godzin. Proponuję poczekać do zmroku, jakieś trzy godziny, i pod osłoną nocy przebijać się w kierunku południowo-zachodnim, tak aby...

– Z całym szacunkiem, panie majorze. – Devonser-Humple uznał, że nie ma nic do stracenia i przerywał wywód Knacha. – Jak do tej pory przegrywamy wszystkie dzisiejsze potyczki, ponieważ robimy dokładnie to, czego chce nasz przeciwnik i wpadamy w zastawione przez niego pułapki. Wychodzi na to, że byliśmy zanadto przewidywalni, a plan sierżanta, skądinąd bardzo rozsądny, wpisuje się w ten sam schemat. – Tu Humple spojrział ukradkiem na Schulztzego. – Proponuję coś zupełnie innego. Natychmiast przerwać działania wojenne i zamarkować odwrót w kierunku południowym, a następnie, korzystając z osłony budynków, cofnąć się wzdłuż linii rzeki do punktu wyjścia i kontynuować odwrót w kierunku północno-zachodnim, prosto na obecne linie wroga. Jestem pewien, że ten manewr pozwoli nam oszukać przeciwnika i zyskać sporo czasu przewagi. Może nawet pozwoli na atak z zaskoczenia i wygranie tej bitwy.

– Bzdury – prychnął Knach.

– Widziałeś przeciwnika? – zapytał zniecierpliwiony Humple.

– Nie było okazji się przyjrzeć – odpowiedział przyboczny majora.

– To skąd wiesz, że mają przewagę liczebną?

– To oczywiste. Niby jak...?

– My ich widzieliśmy – łął jak z nut Humple, wskazując palcem na sierżanta. – To „Iwan”, mały oddział. Góra kilkanaście osób. Mają jakąś nową broń, szybkostrzelną i bezłuskową. Potężna siła ognia – stąd wrażenie, że mają przewagę.

– Bzdura! Jak kilkunastu ludzi...?

– Panowie, bez kłótni! – tym razem sam major przerwał Knachowi. – Trzeba przyznać, że w argumentacji porucznika Humple jest jednak pewna logika – dodał. – Jeżeli nikt nie ma nic lepszego do zaproponowania, to trzeba będzie ją poważnie rozważyć.

Żaden z oficerów nie odważył się oponować.

– Oczywiście wizja ataku na przeciwnika jest całkowicie niemożliwa do zrealizowania. Dysponuje zbyt dużą przewagą w uzbrojeniu – kontynuował, siląc się na mentorski ton, major Lang. – Priorytetem powinno być jak najszybsze dotarcie do linii naszych wojsk, a po przegrupowaniu, atak z użyciem wojsk pancernych i lotnictwa. Wykonać! – zakończył, jak zwykle krótko.

Mały oddział wojskowy, złożony z kilkunastu ludzi, przedzierał się przez połyskujące czerwienią promieni nisko zawieszonego nad ziemią słońca ruiny zniszczonego miasta. Poruszali się jeszcze dość szybko, choć na ich twarzach znać już było poważne zmęczenie. Grupkę prowadziło dwóch żołnierzy, wyraźnie trzymających się z dala od innych. W pewnym momencie jeden z nich pochylił się w kierunku drugiego, szepcząc mu coś do ucha.

– Niech pan się nie ogląda, panie poruczniku. Wydaje się, że od dłuższego czasu jesteśmy obserwowani – powiedział sierżant Schultze do porucznika Humplego.

– Prędzej czy później to musiało się stać – odpowiedział Devonser. – Na szczęście zyskaliśmy trochę czasu i pozbawiliśmy przeciwnika elementu zaskoczenia. Teraz nasza kolej. – Humple zatrzymał się, dając znać pozostałym, aby uczynili to samo, a następnie odwrócił się i podszedł do majora.

– Panie majorze, za jakąś godzinę zajdzie słońce. Nie damy rady iść dalej, musimy odpocząć, a to miejsce wydaje się odpowiednie.

– Dobrze – odpowiedział, łapiąc oddech, Lang. – Tylko proszę nie zapominać o odpowiednich środkach bezpieczeństwa. W końcu cały czas jesteśmy na terytorium wroga.

Schultze w ciągu pięciu minut wyszukał odpowiednie miejsce na postój. Gdy tam weszli, porucznik Humple z podziwem spojrział na swego sierżanta, doceniając walory obronne schronienia. Znajdowali się w wolno stojącym budynku o grubości ścian zapewniającej przyzwoitą ochronę w razie ataku przy użyciu ciężkiej broni maszynowej. Brak połączenia z innymi kamienicami uniemożliwiał atak z góry, a odpowiednia ilość otworów w ścianach pozwalała na odpowiednią penetrację otoczenia i obronę budynku z każdej strony. Przy odpowiednim zabezpieczeniu mogli tu w miarę bezpiecznie przetrwać noc, w razie potrzeby odpierając ataki nawet dużych oddziałów przeciwnika – tyle że Devonser van Culgenar wiedział, że atakuje ich tylko jeden człowiek.

Budynek idealnie nadawał się do zastawienia pułapki i do ucieczki. Do pomieszczenia, w którym przebywali, można było wejść jedynie z dwóch stron. Przez klatkę schodową od frontu, oraz przez dziurę w ścianie na tyłach budynku. W razie ataku z jednej strony zawsze można było z drugiej strony oskrzydlić przeciwnika albo po prostu uciec niezauważonym.

Porucznik niezwłocznie przydzielił Schultzemu pięciu ludzi z rozkazem spenetrowania i zabezpieczenia terenu. Sam natomiast zajął się rozplanowaniem obrony wewnątrz budynku. Nim minęła godzina, wszystko było już przygotowane.

Do stojącego przy jednej ze szczelin w murze porucznika Humplego podszedł wolno Schultze. Przez chwilę obaj wpatrywali się w przestrzeń przed sobą, spoglądając na wyglądające zza gruzowiska ostatnie promienie słoneczne, kończące ten krótki, a zarazem bogaty w wydarzenia jesienny dzień. Po chwili jasność była już tylko wspomnieniem. Władzę nad Warszawą przejęła noc i służący jej mrok, który niczym duchy poległych tu ludzi położył się cieniem na gruzach budynków i ulic, pogrążając je w całkowitej ciemności.

Obaj żołnierze poczuli dreszcz na plecach wyczuwając nieuchronność zbliżającego się niebezpieczeństwa.

– Myślisz, że przyjdzie tej nocy? – zapytał retorycznie Humple.

– Przyjdzie na pewno – odpowiedział sierżant. – I niech Bóg ma nas wtedy w swojej opiece.

– Albo jego – dodał zaciekle Devonser.

Major Fritz Lang obudził się w środku nocy tknięty nagłym przecuciem. Błędnym wzrokiem rozglądnął się dookoła, lecz nie zauważył niczego groźnego. Obok niego oparty o ścianę spał jego przyboczny, Knach. Pozostali żołnierze leżeli na podłodze

zwinieci w kłębek, przytuleni do siebie w poszukiwaniu odrobiny ciepła. Jego oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. Dopiero po dłuższej chwili zdołał dojrzeć dwóch stojących na straży wartowników, wypatrujących przez dziury w ścianie jakichkolwiek oznak działalności nieprzyjaciela. W zasadzie nic takiego się nie działo, pomyślał. W Charkowie przeżył ze swoim oddziałem niejedną taką noc i stawał czoła nie takim niebezpieczeństwom. Chociaż tym razem było zupełnie inaczej. Nigdy wcześniej morale jego ludzi nie było tak niskie jak teraz, a Fritz za ten stan rzeczy winił przede wszystkim tego krnąbrnego porucznika Humple i jego sierżanta, który nie odstępował go ani na krok. Nawet w tej chwili Lang widział ich stojących razem obok siebie przy wejściu do kryjówki. Nic tak negatywnie nie wpływa na morale, jak brak wyraźnego przywództwa i niesubordynacja, a Humple wyraźnie go lekceważył, nie okazując należnego dowódcy szacunku. Niestety w obecnej sytuacji nic na to nie mógł poradzić. Potrzebował każdego człowieka, a niewielu ich pozostało. Ale po powrocie do koszar... W myślach już widział sąd polowy i Humplego stojącego pod ścianą. Twarz wykrzywił mu grymas przypominający szyderczy uśmiech.

W tym samym momencie potężna eksplozja wstrząsnęła górnymi piętrami budynku, zasypując wszystkich resztkami przylegającej do sufitu mieszaniny tynku i zaprawy murarskiej. Śpiący do tej pory żołnierze zerwali się natychmiast w pełni gotowi do odparcia ataku wroga, jednak minęła dobra chwila i nic takiego nie nastąpiło.

– Stać w pogotowiu na stanowiskach – zatrzymał ich głośno Humple, widząc, że powoli zaczynają tracić cierpliwość. Uczynił to w dobrym momencie. W tej samej chwili druga eksplozja, wstrząsnęła murami od strony podwórza. Tym razem efekt wybuchu był inny. Przed budynkiem zaczęły zapalać się specjalnie przygotowane w tym celu ogniska rozświetlając jasnym blaskiem całą otaczającą ich przestrzeń. Oczom zdumionych żołnierzy ukazała się stojąca w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów od nich postać. Ubrany na czarno, wysoki i potężnie umięśniony mężczyzna stał z olbrzymim karabinem przewieszonym przez ramię, wyraźnie nie wiedząc, co robić. Był oszołomiony wybuchem. Stał tylko, trąc intensywnie oczy porażone jaskrawym światłem. Wszystko to niestety trwało tylko ułamek sekundy i zanim Schultze zdążył krzyknąć: „Ognia!”, postać mężczyzny zmieniła się w bezkształtną, spowitą w gęsty dym kulę, która z dużą prędkością zaczęła umykać, przemieszczając się w kierunku leżących poza zasięgiem światła ruin budynków.

Pierwsze kule dosięgły ją, gdy była już prawie na granicy ciemności. Żołnierze strzelali zawzięcie ze wszystkiego, co mieli, w nadziei zniszczenia raz na zawsze zniechęconego wroga. Ostrzał był bardzo intensywny. W pewnym momencie uciekająca kula dymu rozbłysła intensywnym światłem i zaczęła płonąć, wyraźnie przy tym wytracając prędkość. Wśród obrońców budynku rozległ się okrzyk radości i zwycięstwa. Przez moment wydawało im się, że wreszcie pokonali wroga. Jednak już po chwili krzyk zmienił się w jęk zawodu, kiedy kula znowu spowiła się dymem, przyspieszyła i po chwili zniknęła z widoku, rozplywając się w otaczającej ją ciemności.

W budynku zapadła grobowa cisza. Van Culgenar – Humple rozglądnął się dookoła, patrząc z wściekłością na obce twarze żołnierzy, których miał przecież zagrzewać do walki. Wszyscy sprawiali wrażenie przygnębionych i zrezygnowanych. W ich oczach zauważył strach. Chciał coś zrobić, powiedzieć, ale zły nastrój dopadł także i jego,

powodując zamęt w myślach. Dlatego z wdzięcznością przyjął inicjatywę Schultzego, który najwidoczniej nie przeżył porażki tak mocno jak on i zachował trochę więcej zimnej krwi. Po chwili wrzasków sierżant przywrócił porządek, ustawiając żołnierzy na stanowiskach i ustalając zmiany wart. To wystarczyło, żeby chwilowo przywrócić dyscyplinę w oddziale.

Po sprawdzeniu, że wszyscy wrócili na miejsce, Schultze podszedł do Humplego.

– Zniszczył wszystkie zabezpieczenia – powiedział cicho, tak aby inni go nie usłyszeli. – Pułapka świetlna była naszą największą nadzieją na zwycięstwo, teraz pozostała nam jedynie ucieczka. Wszyscy widzieli, że przeciwnika nie da się zniszczyć. W naszych ludziach nie ma już ducha walki. Musi pan porozmawiać z majorem – zakończył.

Humple bez słowa podszedł do Fritza Langa. Po krótkiej, ale ostrej wymianie zdań wrócił do Schultza.

– Cholerny major nie zgadza się na odwrót w nocy, decyzję podejmie dopiero rano. Musimy czekać. I tak nie mamy nic lepszego do roboty.

Fritz Lang siedział skulony w kącie pokoju, wtulając się w plecy siedzącego obok adiutanta. Nie zamierzał już spać. Od ostatniej potyczki minęło kilka godzin, a on cały czas nie mógł opanować swojej wściekłości. Jak Humple śmiał po raz kolejny podważyć jego autorytet, i to przy wszystkich. Gdyby nie był teraz potrzebny, rozkazałby go rozstrzelać na miejscu, bez sądu. Ale po powrocie i tak czeka go śmierć, pomyślał z wyraźną satysfakcją. Należy go powiesić, nie można marnować kul na kogoś takiego jak Humple. Jak Rzesza ma wygrać tę cholerną wojnę, kiedy ma takich oficerów?

W tym momencie zastygł ponownie. Do jego uszu doszedł cichy świst, przypominający trochę odgłos pary uciekającej z czajnika przez gwizdek. Świst stawał się coraz bardziej donośny, a po chwili do pomieszczenia, w którym przebywali, coś wpadło wyraźnie stukając o podłogę. A potem wpadło coś jeszcze i ... Jeszcze coś.

Rozrywający bębniący w uszach huk zwałił ich na podłogę, pozbawiając na chwilę kontroli nad zmysłami, a jakby tego było mało, pomieszczenie zaczął wypełniać gęsty, duszący dym. Devonser van Culgenar, a zarazem porucznik Humple leżał na ziemi, zakrywając sobie usta kawałkiem munduru. Wybuch ogłuszył go tak jak i pozostałych, jednak doświadczenie nakazywało mu leżeć na miejscu i czekać na rozwój wypadków. W odróżnieniu od innych wiedział, co go zaatakowało. Ten idiota, „on sam”, użył granatów ogłuszających z gazem i pewnie zaraz zaatakuje. Dopiero gdy brak powietrza stał się nie do zniesienia, postanowił, że musi działać. Rozejrzał się dookoła, starając rozeznąć w sytuacji. Jak przez mgłę zobaczył, że ogłuszeni żołnierze, nie mogąc oddychać, zaczęli w popłochu, instynktownie przemieszczać się w kierunku dziury w ścianie i wyskakiwać na zewnątrz w poszukiwaniu nadającego się do oddychania powietrza. Dochodzące do niego tępe odgłosy wystrzałów i ogniki wybuchów świadczyły o tym, że prócz powietrza znaleźli tam też i śmierć. W przeblýsku przytomności umysłu przypomniał sobie o drugim wyjściu wiodącym przez klatkę schodową. Chciał krzyknąć do żołnierzy, aby poszli za nim, jednak gryzący dym nie pozwolił mu nawet otworzyć ust, wywołując tylko nagły atak kaszlu. Ostatkiem sił i woli porucznik nakazał swym mięśniom skierować ciało w kierunku wyjścia. Już przy pierwszym kroku potknął się o leżące obok niego Schultzego, którego rozpoznał jedynie po charakterystycznej siwiznie włosów.

Bez wdawania się w zbędne wyjaśnienia złapał go za kurtkę i pociągnął mocno za sobą. Na szczęście już po chwili tamten zaczął iść samodzielnie. Gdy byli w pobliżu wyjścia, coś złapało go za nogi, nie pozwalając mu się poruszać. Porucznik Humple pochylił się i w obłokach dymu zobaczył przerażoną twarz majora. W tym całym zamieszaniu miał trochę szczęścia. Jeszcze nie wszystko stracone, pomyślał, łapiąc starego za połę płaszcza. Razem z Schultzem powlekli go za sobą, wyrzucając jak worek w kierunku klatki schodowej. Po upadku major wstał i zaczął iść samodzielnie. Gdy wypadli wreszcie na zewnątrz, wszyscy trzej zwalili się na ziemię z wyczerpania i braku tlenu. Przez chwilę leżeli tak, łąpczywie chłonąc powietrze, jednak wyraźnie już otrzeźwiony Schultze nie dał im długo odpoczywać. Jako pierwszy zerwał się na nogi, wskazując kierunek ucieczki w ciemność.

## 5.

– Wszyscy zginiemy, wszyscy zginiemy – jęczał leżący na ziemi major Fritz Lang, który najwyraźniej wpadł w jakiś amok i nie mógł się z niego otrząsnąć.

Devonser z politowaniem i pogardą spojrział na niego, na moment odrywając wzrok od dziwnego zjawiska, które przykuwało ich uwagę od dobrej chwili. Zjawisko przypominało trochę zorzę polarną, którą van Culgenar widział już podczas swoich podróży, jednak w tym przypadku przyczyna zjawiska znajdowała się na ziemi, a nie w powietrzu. Wyglądało to trochę tak, jakby ktoś na chwilę rozświetlał całe kwartały miasta wywołując wrażenie zorzy, po czym gasił światło, przenosząc je na kolejny obszar.

– Szuka nas – skwitował krótko zjawisko Schultze, który już dawno przestał się dziwić czemukolwiek. – I znajdzie prędzej czy później. Dalsza ucieczka nie ma sensu, z czymś takim nie wygramy, ale przynajmniej mamy czas, żeby się przygotować do walki – zakończył z zaciętą miną.

– Masz rację, ucieczka z powrotem w kierunku rzeki tylko odłożyła w czasie to, co i tak było nieuchronne. Lepiej sprawdźmy, jaką broń dysponujemy – odpowiedział Humple.

– A co z nim? Będzie nam tylko przeszkadzał. – Sierżant spojrział znacząco na Langa, a potem na nóż, który trzymał w ręku.

– On musi żyć! – zareagował przesadnie van Culgenar – Humple. – Musi żyć! Pamiętaj, to ważne – dodał z przejęciem. – Nawet gdyby tobie albo mnie się coś stało. Nawet gdybyśmy byli o włos od śmierci, on musi żyć, rozumiesz?!

– Dobra. – Schultze wzruszył ramionami, dopatrując się w zachowaniu dowódcy pierwszych oznak szaleństwa.

– Schowam go gdzieś – powiedział Devonser, odchodząc na bok z majorem. – Gdzieś, gdzie nie będzie nam przeszkadzał.

Światło było białe i bardzo jasne. Pozwalało na dostrzeżenie każdego szczegółu otoczenia. Wyglądało tak, jakby ktoś zamiast słońca zapalił nad nimi wielką lampę z mleczną żarówką. Schultze czuł przez skórę, że przeciwnik wpadł na ich trop i tylko kwestią czasu było, kiedy zlokalizuje ich obecną kryjówkę. Razem z porucznikiem leżeli na ziemi,

przykryci płaszczem majora Langea w oczekiwaniu na atak. Amunicji starczyłoby im zaledwie na kilka minut potyczki, dlatego zdecydowali się wykorzystać ją w całości na pułapki i prowadzić walkę wręcz. Sierżant w jednej ręce ścisnął osadzony na drzewku długi, wojskowy nóż, a w drugiej znaleziony nieopodal żelazny pręt.

Delikatny szmer z prawej zwrócił ich uwagę. Jednocześnie popatrzyli w tamtą stronę. Jakies dwadzieścia metrów dalej, na szczycie niewielkiego wzniesienia zobaczyli samotną postać mężczyzny, którego już raz widzieli tej nocy. Mężczyzna rozglądał się wkoło, stojąc obok dziwnej maszyny, z wyglądu przypominającej motocykl – tyle że bez kół. Był dobrze oświetlony, dlatego Schultze mógł mu się dokładnie przyjrzeć. Wysoki i potężnie zbudowany. Miał jakies dwa metry wysokości i ważył ze sto dwadzieścia kilogramów. Ubrany był teraz w spodnie i kurtkę w barwach ochronnych, jednak bez żadnych emblematów i naszywek. Miał solidnie wyglądające buty, a na głowie czapkę w kolorze munduru. Z pleców zwisał mu ciężki karabin maszynowy, a uzbrojenie uzupełniał długi nóż wystający z kabury zawieszony na pasie. Sierżant ocenił go jako przeciwnika poważnego, jednak możliwego do pokonania przez dwóch dobrze wyszkolonych żołnierzy. Na dalsze przemyślenia nie było już czasu. Tamten wsiadł na swój pojazd i skierował go w dół. Prosto w zastawioną przez nich pułapkę.

Odgłos wybuchu oznaczał, że pojazd przeciwnika właśnie wjechał na skleconą przez nich naprędcę, prowizoryczną minę. Nie marnując czasu, zerwali się z ziemi na nogi i podważając wystające pręty, zrzucili na dół przygotowaną wcześniej stertę gruzu i kamieni, całkowicie zasypując wszystko, co znajdowało się niżej. Potem rozdzielili się i zaczęli zachodzić przeciwnika z obu stron. Oczekiwali wroga całkowicie unieruchomionego zawałem, jednak się mylili. Po opadnięciu kurzu czekało ich wielkie rozczarowanie. Leżące na dole rumowisko, podnoszone jakąś niewidzialną siłą, zaczęło unosić się do góry i opadając na boki uwolniło nienaruszony pojazd wraz z jego kierowcą. Porucznik Humple i sierżant Schultze nie czekali na to, co się stanie dalej. Krzyknęli głośno, dodając sobie odwagi i z nożami w rękach rzucili się w kierunku przeciwnika. Ten jednak nie zamierzał się bronić. Dotknął tylko pasa i w tym samym momencie jakaś potężna siła zwała ich z nóg, pozbawiając broni i przytomności.

Devonser van Culgenar ocknął się ciągnięty za nogi po ziemi. Miał skrępowane ręce, a jego głowa nieprzyjemnie objęła się o nierówności i wystające kawałki cegieł. Podróż nie trwała zbyt długo. Po chwili zatrzymał się, a następnie coś podniosło go w górę i rzuciło na ziemię. Spadł obok leżącego w tym samym miejscu sierżanta Schultzego. Od razu spróbował ruszyć się z miejsca, ale nie mógł. Jego ciało ogarnęła dziwna niemoc, uniemożliwiająca wykonanie jakiegokolwiek ruchu, nawet wtedy, gdy heros podniósł go do góry, patrząc w jego twarz, a następnie z wyraźną złością rzucił z powrotem na ziemię. Jakby nie otrzymał tego, czego się spodziewał.

Porucznik Humple kątem oka oglądał to, co dzieje się obok. Obserwował jakby w zwolnionym tempie, jak coraz bardziej zdenerwowany heros najpierw ogląda Schultzego, a następnie daje upust swej złości, kopiąc dość mocno w leżący na ziemi kamień. Rozwścieczony, chodzi przez chwilę w kółko, mamrocząc coś pod nosem, po czym wraca do sierżanta, szybkim ruchem wyciąga wiszący u pasa nóż, pochyla się i jednym cięciem podrzywa mu gardło. Potem wstaje i odwraca się w jego stronę.



Devonser zamknął oczy w oczekiwaniu na zimny dotyk stali, lecz zamiast zgrzytu rozcinanej skóry usłyszał tylko wyraźny śmiech. Otworzył oczy. Dziesięć metrów od nich stał major Fritz Lang, który musiał jakoś wyjść z kryjóWKi. Nie zwracał na nich uwagi. Stał tylko, śmiejąc się głośno i tupiąc jak dziecko. Potem zaczął bełkotać coś niezrozumiałe, jakby prowadził dyskusję lub wygłaszał płomienną mowę. Heros uśmiechnął się pod nosem, odpuścił porucznika i zwrócił się w stronę majora.

Teraz jest szansa. Ostatnia, pomyślał Humple.

– Hej, ty... Culgenar! – wrzasnął po holendersku, najgłośniej jak potrafił. – Devonser van Culgenar! Culi! – Specjalnie użył zdrobnienia znanego jeszcze z dzieciństwa. – Zostaw go! Nie możesz go zabić!

Heros zareagował. Odwrócił się zdziwiony. Na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania. Zaczął wracać w jego kierunku.

– Posłuchaj Culi, to....

Devonser-Humple nie skończył zdania. Przeszkodziła mu szeroka na pięć centymetrów klinga noża, tkwiąca aż po rękojęść w jego gardle. Świat zamarł nagle w bezruchu i pogrzyżył się w całkowitej nicości.

Błysk, obrazy, a potem ciemność. Gwałtowny wstrząs wywołany wizją zamroczył go na moment, odrzucając do tyłu jak po mocnym uderzeniu pięścią. Gdy minął pierwszy szok, zrobił krok w przód i ponownie spojrział w lustro, co pozwoliło mu powrócić do stanu jako takiej równowagi, umożliwiającej przynajmniej zapanowanie nad niekontrolowanymi ruchami mięśni. Tym razem to, co tam zobaczył, to na pewno była jego twarz...



redakcja i korekta: Anna Kańtoch, Krzysztof Wójcikiewicz  
okładka: Katarzyna Świerczyńska  
ilustracje: A. Askaldowicz, K. Kubacka,  
I. Pacek, P. Simlat  
skład: Piotr W. Cholewa





NOL – biuletyn Sekcji Literackiej LOGRUS Śląskiego Klubu Fantastyki.  
Adres: ul. A. Górnika 5, skr. poczt. 502, 40-956 Katowice.  
Tel. (wtorek 16.00–19.00) (32) 253 98 04. E-mail: [skf@skf.org.pl](mailto:skf@skf.org.pl)  
Konto: PKO BP Nr 02 1020 2313 0000 3202 0114 6588  
Wydawnictwo bezpłatne.